MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 26. WARSZAWA, 11 CZERWCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZECIWKO DUCHOWI ŚWIĘTEMU

WARSZAWA uczciła dzień Zesłania Ducha Świętego polsko-żydowskim zjazdem Esperantystów. Z ogłoszonego w prasie żydowskiej programu wiemy, że do komitetu honorowego weszli między innymi prezydent miasta, p. Al. Lednicki, Leo Belmont i in., w komitecie wykonawczym — żydzi. Posiedzenia odbywały się uroczyście na Ratuszu.

Gdzieś na bocznej ulicy jakiś staroświecki mazur dozorca domu umaił zielenią bramę, naogół jednak stary obyczaj narodowy znikł z ulic Warszawy. Święto wiosny, inaugurowane niegdyś przez króla na Bielanach, należy dziś do wspomnień, których zresztą nie przechowują zbiegający się na łup nożowcy. Zgasł żywioł polskiej tradycji. Warszawa dziś jest międzynarodowa, mówi językiem esperanckim. Zjazd rozpoczął się od pielgrzymki na cmentarz żydowski, gdzie złożono wieniec na grobie Zamenhofa.

Czego chcą żydzi, co chcą manifestować w dzień Zesłania Ducha Świętego? Dzieje Apostolskie przechowują nam w symbolicznym obrazie program krzewienia wiary chrześcijańskiej, podyktowany apostołom przez Ducha Świętego. Każdemu narodowi ta wiara ma być dana w jego własnym języku. Zesłanie Ducha Świętego było uświęceniem prawa rozwoju ducha według odrębności mowy.

Działo się w Jerozolimie. Zebrani byli apostołowie. „I stał się zprędka z nieba szum, jakoby przypadającego wiatru gwałtownego, i napełnił wszystek dom, gdzie siedzieli. I ukazały się im rozdzielone języki, jakoby ognia, i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Ducha Świętego, aż poczęli mówić rozmaitemi językami, jako im Duch Święty wymawiać dawał".

W Jerozolimie mieszkali, oprócz Żydów, przedstawiciele rozmaitych narodów—„ze wszego narodu który jest pod niebiem. A gdy się stał ten głos, zbieżało się mnóstwo i strwożyło się na myśli, że każdy słyszał je swym językiem mówiące. A zdumiewali się wszyscy i dziwowali mówiąc: jakożeśmy słyszeli każdy z nas swój język, w którym-echmy się urodzili".

Słyszeli to mieszkający w Jerozolimie: Partowie i Medowie, Elamitowie, mieszkańcy Mezopotamji, Kapadocji, Pontu, Azji, Frygji, Pamfilji, Egiptu, Libji, Rzymianie, Arabowie. Nawróciło się wtedy, jak uczą Dzieje Apostolskie, trzy tysiące ludzi (Dz. A. II, 1 — 10).

Głęboka tkwi w tym przekazie idea, że wszelka mowa jest dziełem Ducha Świętego, mowa p r z y r o d z o n a. A że odwrotnie wszelka mowa sztuczne, tworzona przez ludzi sprytnych naprzekór Duchowi Świętemu, nie może mieć od Niego uświęcenia, tem mniej uświęcenia naukowo-psychologicznego. Zjazd esperancki w Warszawie ogólno-polski, a więc obywateli, z łatwością porozumiewających się po polsku, nie mógł mieć żadnego celu praktycznego. Był on manifestacją antychrześcijańską i antynarodową, zaakcentowaną wyborem terminu.

Owo bękarcie esperanto, żydowsko-warszawskiego pochodzenia, jest robotą sztandarową antynacjonalistyczną, próbującą odebrać Słowu jego duchowe znaczenie. Mechaniczność roboty przeciwstawia się organiczności naturalnej, wyodrębniającej narody. Ujęła tu robotę w swoje ręce organizacja masońska, nie cofająca się przed najgłupszemi pomysłami, jeżeli one mogą dać zajęcie niewybrednej umysłowości klijentom. Czemże wypełnić pustą ideę ludzkości, im narzucona, a potrzebną

dla ogłupienia świata ku tem skuteczniejszemu podbojowi? Żargonu swego żydzi światu nie narzucą, ale spróbują z kwiatu mowy najwyższych cywilizacyj romańskich ułożyć żargon. Będzie rezultat praktyczny—nie będzie, wszystko jedno, ale niech dusze ludzkie się nastawią na osiąganie takich możliwości, niech bluźnią przeciwko Duchowi Świętemu.

Oto ideologja, jak ulał, dla takich typów, jak liberalni żydoidzi, dla takich dusz w stylu esperanto, jak min. (jaki minister?) Al. Lednicki. Ale co inni mają tu do roboty, co ma do tego Ratusz?

Nasuwają się słowa pełne goryczy, bo gorzki jest smak takich zdarzeń. Zły to smak, gdy w dzień Ducha Świętego na Ratuszu stolicy polskiej powiewa sztandar z zieloną gwiazdą. Taki to ma być teraz styl cywilizacji!

Jest to właśnie święto ducha twórczego. Miasto nad tą twórczością bierze niejako patronat, obiecując nagrody pracownikom zasłużonym. Trzeba mieć w sobie trochę Ducha Świętego, aby wiedzieć, jakie nagrodom dać przeznaczenie. Bez tego poczucia robi się taki błąd, że dostaje nagrodę ktoś, co walczy z Duchem Świętym, albo częstuje się paru groszami mistrzów, będących poza konkursem.

Pan Bóg bowiem odbiera rozum ludziom małego serca. Jakże można odmówić Ratusza na zjazd żydowski, gdy się niema odwagi cywilnej zwymyślać członka komiteciku za stawianie głupich wniosków. Niechże już lepiej rządzi sam Mayzel, pisujący listy do Paderewskiego, aby przyjechał po odbiór zapomogi. Będziemy wiedzieli, czyja jest Warszawa.

Gdyby żył Wyspiański miasto Warszawa może przez snobizm przyznałoby mu nagrodę za hymn. Wiecie jak brzmi tytuł tego hymnu?

„*Veni creator*"! Narodu śpiew — Ducha Świętego wezwanie. Czyli: W sejmowem kole, w świątyni Świętych, w katedrze, w gromadzie gminy, w zborze pracujących, w hufie żołnierzy, w polu, na roli, w domu, w zagrodzie rękodzielnika, we dworze, w pałacu, w Zamku, w chat okolu, — jak rzek strumienie — od poników gór po wód roztocze — we wichrze, w promieniu, w gromie, — w orce, przy ziaren siejbie — jak mowa sięga — Orędzie".

Czy mam przytaczać cały tekst:

Zstąp Gołąbica, Twórczy Duch!

Znacie to orędzie poety polskiego. Wydawało mu się to sprawą istotną ducha, że hymn taki, choćby bez słów, śpiewa całe przyrodzenie cywilizacji polskiej od Zamku do rolnika, siejącego zboże, wszędzie, gdzie sięga mowa. Ale jakże biedny by się poczuł, gdyby, wezwany do Ratusza warszawskiego po nagrodę, zobaczył na nim chorągiew Esperanta!

Hymn ten stroić się winien na wysoki ton przedewszystkiem w duszach tych, którzy sprawują robotę publiczną, boć oni są tymi, którzy harmonizują w całość twórczości narodowej tchnienia jednostek. Poeta ma prawo zapytać: co robicie z duszą narodu, której ton wam podaję?

Społeczeństwo, tracące zmysł rozróżniania między duchem światła i duchem ciemności, któremu obojętne jest, co świeci na gmachu publicznym: krzyż czy gwiazda zielona, — nie może wymierzać wartości twórczych.

Znamienne jest, że jedynie prasa wielkopolska wystąpiła z artykułami świątecznemi, przypominającemi z racji świąt znaczenie w życiu jednostek i narodu kultu Ducha! Tam wiara w życie ma swój styl, łączący integralnie motyw religijny z narodowym, tam stara kultura polska umie się bronić od rozkładu. My tutaj niezdolni jesteśmy zapobiec, aby nie manifestowano przeciw Duchowi Świętemu, dającemu siłę twórczą dziejom narodu.

Nie było w Warszawie zieleni na ulicach, bo wiosny nie było w duszach; była za to symboliczna zielona gwiazda na Ratuszu. Zielone Świątki!

Nikt nie składał życzeń patrjotycznej młodzieży korporacyjnej, zebranej w Warszawie na zjeździe; ale krzyczano: „Witajcie rycerze Zielonej Gwiazdy".

ZYGMUNT WASILEWSKI

PODEJRZANI DANAOWIE

NIE NOWA to zasada, że wszelkie przejawy życia zbiorowego, urabiające umysłowość i uczuciowość szerokich mas ludności, służą polityce. Nie można też zapominać, że właśnie dlatego politycy czynni muszą obserwować, brać pod uwagę, współdziałać czy przeciwdziałać wszelkim działaniom, wychodzącym poza ściśle prywatne łożysko.

Na porządku dziennym są dążenia do narzucenia wyobrażeń, ułatwiających osłabienie pewnych cech społeczeństwa, do skierowania uwagi ku pożądanym dla danej polityki pojęciom, i właśnie szczególniej w dzisiejszych czasach pojmowania polityki, jako gry fałszywej, przypominać się winno ostrzeżenie starego poety, aby nie ufać darom Danajczyków.

Nasuwa się nam ta myśl, gdy obserwujemy, jak od lat kilku pewne, skądinąd liberalizujące czynniki starają się przyzwyczaić nas do przyjęcia świąt, nowych „świąt", coprawda, całkiem ciekawego pokroju.

Mamy więc już co roku „święta" dziecka, wiosny, matki, książki, lasu, morza, tej i owej Ligi i t. p.

Oczywiście, ogół nie nadaje jeszcze tym nowoczesnym „świętom" tego znaczenia, jakie mają dotychczasowe święta religijne; zdrowy rozsądek dyktuje rozumienie, że „święto morza", np., znaczy

jedynie tylko chęć silnego podkreślenia znaczenia morza dla Polski; instynkt katolickiego kraju jest jeszcze mocny, ale *gutta cavat lapidem*...

Cechą nowych „świąt“ jest dążenie do przeniesienie ich poza mury kościoła, a szczególniej, przy odbywaniu ich, usunięcia usług kapłanów, świeckość; a przecie kapłani właśnie są organicznie związani z pojęciem święta, rodzi się tedy coraz powszechniejsze przekonanie i wniosek, że nawet do świąt kapłani stają się już dziś niepotrzebni. Czy nie chodzi tedy komu o to, aby samo pojęcie „święta“, dotąd zawsze wiązane z kościołem, nie uległo zasadniczej zmianie w kierunku całkowitego zaświeczczenia? Trzeba przyznać, byłoby to, dla kół wolnomyślicielskich wszystkich obrządków, stopni i ras— wielką wygraną.

Nasuwają się także i inne refleksje. Słuchając, np., w dniu 29 maja roku zeszłego audycji radjowej ku czci matki, nie temu się dziwić było można, że takie święto się obchodzi, ale że pozwolono sobie użyć w jednem z niezbyt złotoustych przemówień, takich powiedzeń, jak „sztandar miłości dla naszej rodzicielki“, lub „sprawdźmy samych siebie w obliczu naszej matki“.

Pominąwszy i ów sztandar i niebardzo zrozumiałe „sprawdzenie samych siebie“, zwrócić warto uwagę, że są to zwroty, jakich obyczaj naszego języka pozwala używać raczej w zastosowaniu do Matki Boskiej, i ten szczegół właśnie jest znamienny.

Zastanawia dalej, że propagowanie nowych świąt rozwijać się zaczęło ze szczególną gorliwością z jednoczesnem zniesieniem kilku świąt katolickich. Nie chcemy przez to bynajmniej twierdzić, żeby te same ręce czyniły jedno i drugie, ale że ktoś chciał skorzystać z tej zbieżności i podrzucić społeczności katolickiej nowe święta, jak kukułcze jajo, to się nasuwa samo przez się.

Przed spo'ecznością naszą staje mimowoli pytanie: Czy istotnie potrzebne są nam nowe „święta“? Przecie my od szeregu wieków wiele z tych rzekomo nowych „świąt“ dobrze znamy, wrosły one w naszą krew, w przyzwyczajenia, instynkty.

„Swięto wiosny“, np., przeżywamy podniośle w święcie zmartwychwstania Chrystusa; cóż głębszego i bardziej kojącego dać mogą nowe pomysły?

Swięto „dziecka“ — to Święta Bożego Narodzenia, przepojone miłością rodzinną, owionięte czarem mistycznym tajemnic przedwiecznych, wryte głęboko w serca, umysły, obyczaj, w sam instynkt ludów chrześcijańskich, a drugiem świętem dziecka u nas i u wszystkich ludów katolickich — to dzień pierwszej Komunji Świętej.

Świąt matki mamy bardzo wiele w świętach Matki Boskiej, wzoru najdoskonalszego wszystkich matek. W trudach pospolitych i radości spokojnej dnia codziennego; w boleści rozdartego serca matczynego pod krzyżem boskiego Syna; w uniesieniach chwały nieziemskiej — jest Matka Boska nieprześcignionym wzorem Matki wogóle, pracującej, radosnej, bolejącej i chwalebnej.

Czyż nam, chrześcijanom, wychowanym na tysiącletniej czci dla tej Matki Najświętszej i najbardziej ludzkiej, potrzeba jeszcze odrębnego „święta“ matki? I jakaż z matek naszych, czcigodnych, przezacnych, pełnych obowiązku i ofiarności, zgodziłaby się, aby jej oddawano cześć, zamiast Matki Bożej?

Nie jest nam potrzebne takie święto, również jako Aryjczykom. Od tysięcy lat, choćby starego Homera biorąc na świadka, mamy poszanowanie dla matki rodu, dla kobiety, a ta cześć odwieczna, zlana z kultem religijnym, wystrzeliła u nas, Polaków, wyniosłym i bujnym kwiatem czci dla naszej Panienki Przenajświętszej. Cześć tą nie zagasa; trwa, jak święty płomień naszego zbiorowego życia. Pocóż więc mącić ten stan wprowadzaniem „święta“, które, nie mieszcząc w sobie pierwiastków wyższych, musi się stać w stosunku do chwili obecnej — obniżeniem.

Komuż to mogłoby być potrzebne?

Szerzenie kultu matki u nas by się przydało tylko takim społecznościom, które nie otaczają szacunkiem kobiety, jak społeczność żydowska np., dla której rabin Meir z II w. po Chrystusie ułożył błogosławieństwo, wprowadzone do modlitwy codziennej żydów i odmawiane do dziś dnia: „Bądź pochwalony, Wiekuisty Boże Nasz, Władco świata, żeś mnie nie stworzył kobietą...“

Ten sam rabin Meir twierdził, że błogosławieństwo Boga nad Abrahamem objawiło się w tem, iż nie miał on córki; takich przykładów moglibyśmy przytoczyć bardzo dużo, a z wszystkich płynie, istotnie, potrzeba odpowiedniego wychowania żydów w szacunku dla kobiety i w czci dla matki (jednego od drugiego oddzielić niepodobna przecie), ale nam, Polakom i chrześcijanom, jest niepotrzebne owo przypominanie raz do roku, że mamy szanować i czcić swoje matki; my je nietylko czcimy, ale i kochamy, nie raz do roku, ale przez cały rok. Wyjątki barbarzyńskie istnieją, ale ich nie naprawią improwizowane przypadkowo „święta“ matek, wprowadzające zamieszanie pojęć.

Skąd płyną te pomysły? Może liberalniejsze żywioły z pośród żydostwa, które tak wielki wpływ wywierają na część inteligencji naszej, a przez nią i na resztę społeczeństwa polskiego, może te przodujące i wyzwolone z rabinizmu (jeżeli takie są) żywioły spostrzegły, jak u nich jest źle, i urządziły nagle rejwach i gwałt, który niepotrzebnie wylał się na cały aryjski kraj, ale co dla nich jest sprawą pierwszorzędnego znaczenia, to dla nas poprostu zbyteczne, i dlatego społeczeństwo polskie musi zerwać z tem świętowaniem, wracając do czci Matki Najświętszej, jedynej jaką świętem publicznem czcić należy.

Równie i reszta improwizowanych świąt powinna być sprowadzona do ich roli istotnej: uroczystości, obchodów, rocznic, przypomnień, zachęceń; powinno się im natomiast odjąć cechę rzekomej „świętości“, którą pewne czynniki świadomie, a ogół z bezmyślnością wprowadza do naszego życia.

Zapewne doczekamy się szeregu nowych „świąt“. Czemu nie mielibyśmy, np., obchodzić święta „garnka“ i „bridża“, jako świąt życia osiadłego; święta „kufla“, jako święta gromadzkiego, no, i, naturalnie, jasnej myśli; święta „rumby“, jako święta radości życia; święta konia (osioł podobno w Polsce rzadki), jako święta wsi; święta „wytrycha“, jako święta przenikania wszędzie (coby to był za filozoficzny podkład!).

Ale co my, katolickie społeczeństwo, do tego mamy? My się musimy gruntownie i natychmiast przeciwstawić temu zalewowi złego smaku i podejrzanej gorliwości „świętowania“. Przywróćmy świętu jego istotne znaczenie i miejsce.

IGNACY KOZIĘLEWSKI

PACYFIZM WE FRANCJI

A RUCH KATOLICKI

INTERESUJĄC się w znacznym stopniu Francją ze stanowiska politycznego i znając po trochu jej życie literackie, mało się zajmujemy w Polsce francuskiem życiem społecznem i kierunkami myślowemi, objawiającemi się w różnych grupach i środowiskach społecznych i intelektualnych. Zdawaćby się mogło np., że ruch katolicki we Francji powinien nam być bliski i dobrze znany, tymczasem zna go u nas zaledwie ktoś tu i owdzie, a tak bujne intelektualne życie katolickie Francji nie odbija się żadnem prawie echem w naszych pismach. Tymczasem życie to nietylko- jest pouczające dla każdego w zakresie religijnym, umysłowym, społecznym, ale posiada znaczenie polityczne, również niepoślednie i rosnące, zważywszy, że inteligencja francuska coraz liczniej w niem bierze udział. Na dowód wystarczy przytoczyć t. zw. „Tygodnie Społeczne“ (*Semaines Sociales*) na które pierwszorzędna inteligencja francuska zjeżdża tysiącami, a na których omawia się sprawy największej wagi dla życia społecznego i państwowego. Na „*Semaine Sociale*“ w Lille, w lecie ub. roku tematem wykładów o uniwersyteckim poziomie było „*Le Désordre de l'Economie Internationale et la Pensée Chrétienne*“; na przyszłym „Tygodniu“, w tym roku, tematem będzie „*La Société Politique et la Pensée Chrétienne*“. Tematy nie lada! Przyszły zjazd odbędzie się w Reims; więc i rama wcale dostojna i odpowiadająca tematowi.

Ale nie o tygodniach społecznych zamierzamy pisać, lecz o pewnej tendencji natury politycznej, jaka tworzyła atmosferę „Tygodnia“ w Lille, a następnie stała się powodem i przedmiotem polemiki w pismach katolickich francuskich w kilka miesięcy później. Udział w tej polemice znanego patrjoty i katolickiego działacza, jenerała Castelnau, czyni ją tembardziej zajmującą i charakterystyczną.

Jakkolwiek głównym przedmiotem „Tygodnia“ w Lille była sprawa przesilenia gospodarczego, to jednak z rozmów, z przemówień na wspólnych obiadach, oraz artykułów czasopism katolickich można było zauważyć charakter pacyfistyczny znacznej części ruchu katolickiego we Francji. Nietylko lewica, lecz i ruch katolicki francuski nastrojony był bezkrytycznie względem Niemców, a przychylnie do Ligi Narodów. Wynika to oczywiście stąd, że naród francuski w całości gorąco pragnie pokoju, czemu trudno się dziwić, gdy się ma sposobność uprzytomnić sobie na cmentarzach i po kościołach francuskich ogrom ofiary krwi, jaką naród ten złożył w czasie Wielkiej Wojny. Trudniejsze do zrozumienia są złudzenia w stosunku do Niemców; lecz, jeżeli mowa o kołach katolickich, można je sobie wytłumaczyć stosunkami, jakie katolicy niemieccy umieją utrzymywać z innemi krajami katolickiemi, gdy np. ze strony naszej niema żadnej właściwie przeciwwagi. Istnieje oczywiście liczna grupa katolików francuskich, nie podzielających złudzeń co do polityki niemieckiej i nastrojów społeczeństwa niemieckiego; utrzymywanie stosunków z nimi, informowanie ich leży w interesie polityki polskiej i w interesie utrzymania rzeczywistego pokoju w Europie. Ale trzeba znać także tamte, pacyfistyczne prądy, nie zaniedbywać stosunków i z tamtemi grupami, bo oczywiście jednostronne informowanie przez Niemców jest ważnym powodem bezkrytyczności niektórych francuskich katolików.

Sądzimy, że nie od rzeczy będzie przedstawić pokrótce wspomnianą polemikę w kołach katolickich francuskich.

Na wstępie należy powiedzieć, że francuscy monarchiści-nacjonaliści, zorganizowani w „*Action française*“ i wydający znane pismo pod tym tytułem, zasługują na zarzut, że przez swój brak taktu i wyczucia położenia, oraz wartości sił w grę wchodzących, pozbawiają swój kierunek wpływu na koła katolickie i odstręczają je od ideologji narodowej. Czujność w sprawach polityki zagranicznej jest niewątpliwie zasługą francuskiego nacjonalizmu, ale forma, w jakiej odnoszą się np. do osoby nuncjusza apostolskiego w Paryżu, miotanie obelg na niego nie może przynieść korzyści i uniemożliwia wywieranie wpływu politycznego na katolików. Trudno wprost pojąć ten sposób postępowania u ludzi o wysokiej kulturze umysłowej i politycznej. Dla wielu katolików francuskich skutkiem takiego stanowiska nacjonalistów, samo słowo nacjonalizm staje się czerwoną płachtą. Na szczęście, jak wspomnieliśmy już, istnieje grupa gorących katolików, narodowo myślących, a ze sprawami polityki zagranicznej dobrze obeznanych, która usiłuje i, jak zobaczymy, nie bez pewnego powodzenia, prostować zapatrywania swoich współwyznawców.

Polemika oczywiście, o której mówimy, nie jest czysto polityczna; przybiera ona charakter ideowy, ponieważ ma za tło stanowisko i nauczanie Kościoła, tyczące współżycia narodów i etyki w życiu zbiorowem; jednakowoż mniej czy więcej realne orjentowanie się w sprawach aktualnej polityki nie pozostaje bez wpływu na interpretację, a jeszcze bardziej na ton i intencję interpretacji.

„*Les Annales de la Jeunesse Catholique*“, miesięcznik wydawany przez organizację katolicką młodzieży („*Association Catholique de la Jeunesse Française*“), ogłosił 15-go października 1932 r. artykuł p. Jean Giraud pod tytułem: „*Au service de l'esprit de guerre*“ („Na usługach ducha wojennego“). Artykuł ma służyć propagandzie pokoju międzynarodowego, lecz czyni to w sposób wysoce naiwny, a jednocześnie, co gorzej, zarozumiały. Byłoby to do wybaczenia u młodzieńca, gdyby pismo nie miało służyć celom pedagogji moralnej i nie miało pretensji reprezentować poglądów najwyższych autorytetów hierarchji kościelnej. Autor oskarża francuską prasę prawicową (wymienia: „*L'ami du Peuple*“, „*Petit Parisien*“, „*Echo de Paris*“) o to, że w znacznej mierze winna jest niepowodzeń Ligi Narodów i Konferencji rozbrojeniowej, będąc na usługach propagandy wojennej („*au service de la guerre*“). Niepowodzenia powyższe należy, poza prasą, przypisać również, zdaniem p. Giraud, sposobowi wychowania młodzieży, a zwłaszcza nauczania historji. Przechodząc następnie odrazu do sedna trudności, mówi o stosunkach niemiecko-francuskich i twierdzi, że „naprężenie stosunków francusko-niemieckich pochodzi, conajmniej w trzech czwartych, z nieufności („*des défiancas*“), nie mającej żadnego realnego uzasadnienia“, a rolą prasy

i wychowania narodowego powinno być, jego zdaniem, łagodzenie i usunięcie tej nieufności. Nie przeczy on, że w informacjach, podawanych przez prasę, istnieje jądro prawdy, lecz jest ono rozdmuchiwane w duchu wojowniczym. Mówiąc w tym związku o Niemczech, formułuje dziwnie, jak na Francuza, swoje twierdzenie: „...jest prawdą, że Niemcy nie czują w głębi serca przywiązania niezmiennego dla traktatu, który je rozpołowił (!), który zabrał im kolonje, narzucił astronomiczną cyfrę odszkodowań i ogłosił ich odpowiedzialność za wojnę“ (tu czytelnik winien westchnąć ze wzruszenia nad losem biednych Niemców). Autor z lekką drwiną wyraża się o zbrojeniu dla własnej obrony, twierdzi, że kampanja nacjonalistów w sprawach międzynarodowych intryg (rzekomych, jak sądzi), doprowadza Francuzów do „chorobliwej nieufności“ wobec narodów obcych.

Powodem takiego stanowiska prasy jest, zdaniem autora, jej pieniężna zależność od wielkiego przemysłu, wyrabiającego materjał wojenny; cytuje tu zdanie Brianda, wypowiedziane w Genewie, o interesach działających przeciw pokojowi. Nakoniec p. Giraud twierdzi, iż w czasie wojny przemysł ten wpłynął nawet na sztab główny francuski, aby uchronić od bombardowania lotniczego zakłady w zagłębiu Briey, gdzie wyrabiano znaczną część amunicji niemieckiej, ponieważ francuska kompanja przemysłowa „*Comité des Forges*“ była w porozumieniu z niemiecką „*Metallgesellschaft*“...!

Nie będziemy cytowali więcej; to, co przytoczyliśmy, wystarczy, aby dać pojęcie o rozumowaniach autora oraz usprawiedliwić oburzenie, z jakiem na artykuł ten odpowiedział w „*Echo de Paris*“ jenerał Castelnau. Artykuł jenerała, ogłoszony 23 listopada 1932 r., nosi tytuł: „*L'Histoire telle qu'on l'enseigne à la Jeunesse Catholique*“.

Wspominając z wielkiem uznaniem o dawnej pracy „*Association Catholique de la Jeunesse Française*“, o dzielnych patrjotach i działaczach, przez nią wychowanych, stwierdza, że czasy i ludzie się zmienili, a następnie przytacza ustępy najważniejsze artykułu p. Giraud i nazywa je poprostu „zarzutami głupiemi i niewyszukanemi“. Oburza się na pobłażliwość autora wobec Niemców, nie biorącą w rachubę ich win, któremi sami na siebie ściągnęli te skutki, na jakie obecnie utyskują, i zarzuca A. C. J. F., a zwłaszcza jej kierownikom, niebezpieczne igranie z prawdą, gdy niepokój ludzi uświadomionych politycznie nazywają „nieufnością pozbawioną podstaw“. „Przez opuszczenia, insynuacje, lub umyślne omyłki dążą oni do nastrojenia powierzonych im młodych umysłów w sposób, przygotowujący tę młodzież do najgorszych abdykacyj. Stwarzają dusze, pozbawione sprężyny patrjotyzmu“. Castelnau zwraca uwagę na to, że p. Giraud czerpie z lubością swoje wiadomyści z pism społecznie rewolucyjnych („*Populaire*“, „*L'Information Sociale*“, „*Le Crapouillot*“), a nawet z wprost komunistycznej „*La Librairie du Travail*“, dodając ironicznie, że wskazania Ojca św. chyba nigdy nie zaleciły młodzieży katolickiej tych publikacyj jako Ewangelji, mającej ją przygotować do apostolstwa religijnego. Wreszcie odpierając z oburzeniem zarzut, jakoby nauczanie młodzieży w szkołach nastrajało ją wojowniczo, stwierdza, że duch wychowania patrjotycznego w szkołach francuskich jest tylko duchem „uprawnionej obrony“, jaki nigdy nie został potępiony ani przez św. Tomasza, ani przez późniejszych teologów, ani przez Ojca św. Piusa XI, który w swej Encyklice „O chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży“ mówi o „pięknem uczuciu żołnierskiej odwagi w obronie Ojczyzny i porządku publicznego“.

Kończąc, pisze Castelnau, że stowarzyszenie młodzieży, A. C. J. F., które było wspaniałem ogniskiem wychowania moralnego i religijnego, w chwili obecnej okazuje się grupą polityczną, pepinjerą ludzi, będących „na usługach niebezpiecznych utopij i doktryn rewolucyjnych“.

Oczywiście enuncjacja jenerała spotkała się nietylko z wielkiem uznaniem, lecz również z krytyką. Castelnau odpowiedział na nią 6-go grudnia znowu w „*Echo de Paris*“, zwracając uwagę przedewszystkiem na to, że Francuzi pragną pokoju, nikomu niczego zabierać nie chcą, więc propaganda pacyfistyczna we Francji jest zbyteczna, a tylko ducha narodowego osłabia; natomiast pacyfiści dobrze zrobiliby, gdyby mieli odwagę przenieść swoje kazania i manifestacje nad Sprewę, nad Tybr i do Moskwy, gdyż nad Sekwaną są one zupełnie nie na miejscu.

(Dok. nast.) ZOFJA ŻÓŁTOWSKA-DĄBROWSKA

PODŁOŻE TWÓRCZOŚCI EPICKIEJ WŁ. ORKANA

(NA MARGINESIE ZBIOROWEGO WYDANIA JEGO DZIEŁ [1])

1

KIEDY w r. 1898 K. Tetmajer, wprowadzając Orkana w świat literacki, w życzliwej przedmowie zalecał młodocianego autora „N o w e l“, zalecenie swe popierał dwiema racjami. Najpierw tą, że autor ma talent, powtóre zaś, że rodem ze wsi, z Gorców, przyczyni się do powstania osobnej, góralskiej (jak była niegdyś ukraińska) „szkoły“ literackiej tatrzańskiej.

Czy dzisiaj, po trzydziestu pięciu latach, patrząc na całość dorobku literackiego Orkana, moglibyśmy podtrzymać te racje, uznać prognostyk za trafny i uzasadniony? Chyba nie.

Talent? Zapewne, widoczny on był już w tamtym studenckim zbiorku; ale wyraz jego jest tam zbyt jeszcze prymitywny i surowy; autor, widząc to, skazał te prymicje na całkowite zapomnienie. O „szkole“ zaś poetów tatrzańskich powiedzieć trzeba, że się faktycznie sformowała, że zajęła poczesne nawet miejsce w literaturze naszej, ale od „szkoły“ tej, której arcydziełem szczytowem zostanie „N a s k a l n e m P o d h a l u“, Orkan właściwie trzymał się raczej z osobna i pod tym względem zawiódł wyrażone nadzieje Tetmajera.

Jeżeli jednak dzisiaj warto wziąć w rękę nawet ów tomik prymitywów nowelistycznych Orkana, jeżeli warto przyjrzeć się mu bliżej, uzasadnia

[1]) Od roku 1932 wychodzi w Krakowie wydanie zbiorowe dzieł Wł. Orkana. Niebawem ukaże się czterotomowa serja nowel.

się to racją inną. Mianowicie jest on rzeczywiście punktem wyjścia, — wprawdzie nie regjonalnej szkołu literackiej, — ale zadania artystycznego, które jego twórca, sam jeden, coraz pełniej je sobie uświadamiając, z biegiem lat coraz bardziej programowo podejmował i którego lwią część w swej późniejszej działalności literackiej rzeczywiście wykonał. Już te „Nowele“ są punktem wyjścia do epickiego obrazu wsi polskiej, roztaczanego przed oczyma naszemi przez Orkana, a pochwyconego przezeń w pewnym przełomowym okresie jej rozwoju.

Niezbyt dawno wyrazono wątpliwość, czy naprawdę słusznie można mówić o Orkanie jako o epiku wsi. Nie wydaje się jednakowoż, żeby wątpliwość tę można było podtrzymać. Sama wszelaka kwestja rzeczywiście jest istotna i zasługuje na omówienie. Można powiedzieć więcej: dopiero należyte jej rozwiązanie uprzytomni nam istotę zadania literackiego Orkana, pozwoli ocenić odrębne stanowiska tego pisarza w nowej literaturze naszej.

Żeby rzecz ująć należycie, zatrzymać się wypadnie przez chwilę przy jej zawiązkach, właśnie przy młodocianych nowelach. Już tam bowiem zarysowuje się wcale wyraźnie zarówno indywidualność twórcy, i jego program artystyczny.

Przedewstkiem więc jakaż to, jak wyposażona indywidualność formującego się epika?

Co odrazu uderza w młodym autorze nowel i obrazków wiejskich z Gorców i roztok, to zdecydowana przewaga obserwacji i pamięci świata nad wyobraźnią twórczą. Dla porównania wystarczyłoby wziąć Tetmajera „Na skalnem Podhalu“, dzieło, w którem owe czynniki wystąpiły we wspaniałej równowadze. U młodego Orkana o równowadze takiej mówić jeszcze nie sposób. Tworzywo swe: postaci, ich tło, sam bodajże bieg akcji swych pierwszych nowel, czerpie on nie z wymysłu, nie z fantazji, ale wprost ze spostrzeżeń otaczającej go rzeczywistości. Dowodem dostatecznym może być fakt, że sporą część osób ich, tudzież motywów (takich, jak śpiewanie ku sobie zakochanych z uboczy na ubocz, jak zabawa „na borach“, scena pogrzebu i in.) znajdziemy w dziełach późniejszych, w warjacjach odmiennych, ale pozwalających doszukiwać się wspólnego, realnego pierwowzoru.

Godne uwagi także i to, że spostrzegawczość Orkana zwrócona jest przeważnie nazewnątrz, na świat otaczający. Świata wewnętrznego, własnych swych przeżyć, wzruszeń, pierwiastku autobiograficznego, tak zwykle przeważającego u młodych powieściopisarzy, podał autor w pierwszych nowelach jak najmniej; w większości opowiadań pierwiastek objektywny przeważa znakomicie.

A zasiąg obserwacyj autora wcale jest szeroki. Już w tym pierwszym zbiorku odsłania się przed nami duży świat wsi, bogactwo osób, zróżniczkowanych dobrze w charakterystyce, i scen różnogatunkowych. Oczy pisarza otwarte są szeroko i potrafią wniknąć dobrze pod zewnętrzny pozór rzeczy. Przeniknąć aż do gruntu prawdy, pochwycić rzeczywistość w jej istocie.

Młody autor wcześnie wyrobił sobie pod tym względem wyraźny nawet program literacki: prawdę, nagą, surową prawdę obiera za przewodniczkę swej twórczości. Zapowiada nam to we wstępnej „Przygrywce“ do pierwszego tomu nowel, następnie obrazową parabolą przedstawia w zamknięciu noweli końcowej; z wyznaniem wiary artystycznej autora spotykamy się więc w ten sposób na pierwszej i na ostatniej stronicy zbiorku. W wypowiedziach tych programowych podźwiękuje wyraźnie hasło sztandarowe naturalizmu. Rzeczywiście o przynależności pierwszych dzieł Orkana do tego prądu możnaby mówić z pewnem uzasadnieniem.

U wstępu zaraz składa on przysięgę na służbę prawdzie, ślubuje wierność wobec rzeczywistości. I dla niego też ta prawda „życia“ ma zawsze kontury czarne, żałobne; i on ma wzrok nastawiony przedewszystkiem na strony ciemne, na krzywdę, na nędzę, więcej niż na radość i urodę życia. „Łzy mię ciągną“—wyznaje—„więcej niźli blaski“. I on poczyna sobie tak, żeby dać przedewszystkiem dokument ludzki, ujęty najautentyczniej. Tem się tłumaczy, że autor, choć z umiarem, podaje przecież sceny, mające wartość folklorystyczną, opisy zwyczajów, resztek obrzędów i t. p.; stąd też język pierwszych nowel nie przesycony jeszcze gwarą nawskroś i organicznie (jak to będzie później), ale tylko kraszony zwrotami gwarowemi, ujmowanemi w cudzysłowy. W przeciwieństwie jednakże do naturalistów, nie chce Orkan odkrywać ni ilustrować w opowiadaniach swych żadnych praw biologicznych czy socjologicznych, nie porywa się np. na jakieś studjum chłopskiej chciwości, „głosu ziemi“, nałogu pijaństwa, czy t. p., nie chce wogóle niczego dowodzić. Pochwycenie rzeczywistości, rzeczywistości smutnej, w jej prawdzie, — oto uświadomione sobie główne zadanie młodego artysty. Z pierwiastków poza artystycznych wkracza natomiast silnie w opowiadania Orkana współczucie dla „serc biedaczych“, tudzież reformatorska pasja społecznika.

Zauważmy bowiem i to także. Obserwacja Orkana niema w sobie nic a nic z chłodnego zaciekawienia badacza, zainteresowanego osobliwością przedmiotu, nic z przychylnej nawet ciekawości etnologa. Jest to obserwacja — chciałoby się powiedzieć — iście synowska. W chłopie interesuje go nie odrębność rodzajowa, ani brutalna gra niehamowanych namiętności, ale, jak się rzekło, nadewszystko jego niedola.

Jednakowoż i ona jeszcze nie wypełnia całej skali odczuwania twórcy. Niedość mu oddania niedoli tylko materjalnej, niedość przemykania się po wierzchu świata. Czującem wniknięciem chce on dotrzeć do głębszego nurtu życia duchowego ludu, tego np., które się budzi i dochodzi do wyrazu w obliczu śmierci. Stąd to surowa wzniosłość wiejskiego obrzędu pogrzebowego nawijać się będzie Orkanowi parękroć wizją artystyczną także w dziełach późniejszych. Pierwsze opracowanie motywu dał on już w zbiorku z r. 1898. Odtworzoną scenę pogrzebu zamknął tam autor charakterystyczną, bardzo znamienną refleksją osobistą. W niej to może najwyraźniej doszedł bezpośrednio do głosu uczuciowy stosunek tego pisarza do jego świata.

Charakterystyczny jest także w pierwszych nowelach wymiar perspektywiczny odtworzonego obrazu nędzy wiejskiej. Oczywiście, przez swe właśnie współczujące serce pochyla się Orkan troskliwie nad indywidualnemi wypadkami krzywdy i cierpienia; przedstawia dramaty, wynikłe z konfliktów jednostkowych. Pociąga go człowiek, zwłaszcza człowiek nieszczęśliwy, biedota wiejska, ofiary złego losu, czy złych ludzi, a więc komornica, wypędzona z dzieckiem na mróz i wicher, sierota „na dochowku“ i t. p. Widzimy jednakowoż już na przykładzie tego najwcześniejszego zbiorku, jak Orkan zmierza, by ową interesującą go przedewszystkiem niedolę wsi ująć u korzenia, sprowadzić do jakiegoś istot-

nego mianownika, do przyczyny głównej. Więc i tutaj już napomyka on wyraźnie jako o tej przyczynie głównej: o złym ustroju społecznym wsi, ustroju rolnym przedewszystkiem. Ziemi mało! — oto gdzie źródło nędzy. Dzielona wciąż i coraz drobniej, nie wyżywi wkońcu pracownika. „Jak przyjdzie trzecie potomstwo, to już cheba musi z głodu zdychać". Oto troska najcięższa, która żłobi czoło rozważnym gospodarzom, „staremu gaździe" czy podwójciemu, która też, podjęta przez samego autora, wybije się niebawem jako motyw naczelny całego zbiorku „Nad urwiskiem". Odtąd myśl naprawy społecznej, przemiany ustroju wsi, będzie nadługo współczynna w konstrukcji opowiadań Orkana, aż szczytowy swój wyraz osiągnie „W roztokach".

Tak więc już w pierwszych zawiązkach literackich Orkana dostrzegamy dwie główne, współczynne dążności jego tworzenia, dwie siły naczelne jego jako artysty: pasję obserwatorską, nastawioną miłościwie na okolną zewnętrzność wiejską, zwłaszcza zaś na mroczny obszar niedoli, — oraz drugą: pasję wielkiej naprawy.

Możnaby zapewne sądzić, że wypadkowa takich dwóch sił przyrodzonych nie koniecznie pójdzie po linji postulatów epiki, nie da dziełu literackiemu wymaganej bezinteresowności ujęcia i przedstawienia świata. Jakże się ma twórca zdobyć na moralną aprobatę i na potrzebny zachwyt naiwny wobec swego tworzywa, skoro go mierzi porządek świata, skoro sam płonie żądzą jego zmiany, przebudowy rzeczywistości, stojącej przed nim jako temat? Rzeczywiście, możnaby przyjąć, że naogół takie dwie rozbieżne tendencje nie dadzą się sharmonizować w wygłos epiki. Naogół.

Ale właśnie arcyszczęśliwym układem rzeczy twórczość Orkana stanowi osobliwy od takiej reguły wyjątek. Układ rzeczy zaś zasadzał się na tem, że wieś polska z początkiem w. XIX przebyła proces głęboko sięgającej zmiany, wprost przeistoczenia w strukturze obyczajowej i psychicznej, weszła w nową, gruntownie odmienioną fazę bytowania. Otóż właśnie, dzięki wyposażeniu swej indywidualności artystycznej w tendencje tak rozbieżne, Orkan był wprost predestynowany na epika tej właśnie wielkiej przemiany wsi polskiej.

2

Żeby uchwycić należycie osnowę epicką Orkana, trzeba sobie uprzytomnić, że wieś polska (mowa oczywiście przedewszystkiem o wsi polskiej w b. Galicji) w ciągu ostatnich dziesięcioleci przeszła głębokie przeistoczenie, i to zarówno w dziedzinie obyczajowej, jak ustrojowej.

Zmiana musiała się rozpocząć na dobre jakoś w ósmym czy dziewiątym dziesiątku lat w. XIX, kiedy zaczęło ustępować z pola ostatnie pokolenie, które jeszcze za młodu rabiało pańszczyznę. Uwydatniła się ona najpierw przez zatratę prymitywnej samoitności wsi. Przez wieki całe wieś sama sobie wystarczała; chłop żywił się tem, co sam z pola zebrał i zmełł na żarnach lub obił w stępie. Ubierał się w to, co sam na warsztacie tkackim wyrobił, co wybielił na rosie i uszył; gospodarował, jak mu to mądrość i doświadczenie przodków przekazały. Stan ten przetrwał do końca ubiegłego wieku, poczem szybko zaczął się przetwarzać. Szkoła, emigracja zarobkowa, pociąg przykładu, złożyły się na wyjście z tych prymitywnych warunków bytu; wieś poczęła się wiązać z szerszym nieco światem i zeń korzystać. W konsekwencji (nadeszła np. powolna zatrata stroju tradycyjnego), przemieniać się jęła stara kultura materjalna: budownictwo, urządzenie domostwa, uprawa roli, etc.

Przedewszystkiem jednakże wyraziła się przemiana w przesunięciu się czynników we wsi znaczących, w kryzysie starego autorytetu. Jeszcze przed trzydziestu — czterdziestu laty widzieć można było kmieci sędziwych, poważnych, noszących się po staroświecku, co przyrodzoną roztropność wzbogacili byli długiem doświadczeniem życiowem; niektóry z nich za młodu jeździł wozem dziesiątki mil po sól, inny był na odpuście w dalekim Krakowie, a wrażeń zebranych starczyło im do opowiadania przez całe życie. Uderzyć zaś musiało poszanowanie, jakiem się cieszyli, i posłuch, jaki wzbudzali. W sprawach gminnych i gospodarki kościelnej głos tych patrjarchów był ważki i decydujący. Bo też ustrój wsi był jeszcze iście patrjarchalny. Wójtem, podwójcim, wogóle dostojnikiem gminnym zostać mógł tylko gospodarz dobrze już leciwy; młodzi gospodarze, nie mówiąc już o parobczakach, ważyli tam mało co. W rodzinach również panował surowy rygor i posłuch wobec ojców.

Ustrój wsi był następnie wyraźnie rodowy i arystokratyczny. Żeby mieć znaczenie, dostać się między decydującą starszyznę, niedość było mieć wiek; trzeba było należeć do elity rodów i majątku. Godność wójtowska nie wychodziła poza niewielki krąg kmieci co zasobniejszych; drobny gospodarz, cóż dopiero chałupnik, nie zamarzył o równouprawnieniu. O tem, żeby dostojeństwo gminne oddano choćby światłemu, ale młodemu i uboższemu gospodarzowi, — nie mogło być wprost mowy. Krótko mówiąc, wieś polska przechowała w sobie do końca w. XIX ten typ ustroju wewnętrznego i obyczajowego, jaki cechował społeczeństwo szlacheckie jeszcze pod koniec w. XVIII; zasadą jego była mianowicie stanowość i patrjarchalność.

Otóż chcąc sobie uprzytomnić w najkrótszem ujęciu i w najwłaściwszej istocie omawianą tu przemianę wsi z typu staroświeckiego na nowoczesny, wystarczy powiedzieć, że była to przemiana analogiczna do tej, jakiej pod względem umysłowym i obyczajowym podległa była szlachta polska na przełomie w. XVIII i XIX, jaka odgranicza Polskę nowoczesną od staroszlacheckiej. Jak niegdyś pod wpływem idej wieku oświecenia, haseł w. rewolucji, Napoleona, a wreszcie romantyzmu, tak teraz pod naporem warunków oświatowych, ekonomicznych, politycznych, pod wpływem prądów społecznych, przekształcił się do gruntu układ cywilizacyjny całej zbiorowości. Podobnie jak wówczas, i obecnie także wielka wojna dokończyła dzieła. Paralelę między oboma procesami możnaby wyciągnąć aż do szczegółów. Nie zadziwi ona nikogo, kto sobie uprzytomni jednorodność plemienną, ale zarazem i młodszość cywilizacyjną wsi wobec dworu.

Przemiana wsi dokonała się niemal w naszych oczach. Zanika, jak się rzekło, strój i obyczaj starowiejski, zmieniło się też zdecydowanie kryterjum doboru elity przodującej; nie ród już tutaj decyduje, nie zawsze i majętność; wiek zaś, starość, jeżeli znaczy co, to chyba tylko w sensie ujemnym: dyskwalifikuje do rządów. Ster sprawy gminnej należy do młodych, bywalców przetartych po świecie, rozgarniętych, no i — wygadanych. Oni dziś stanowczo nadają ton gromadzie. Jak to zwykle w demokracji. Między odepchniętymi od znaczenia, starszymi gospodarzami nietrudnoby o takiego, co gotów utyskiwać śladem Sędziego z „Pana Tadeu-

sza“ na zepsuty porządek. „Dziś człowieka nie pytaj, co zacz, kto go rodzi; ...każdy, gdzie chce wchodzi, byle nie głupi...“

Ten proces przemiany strukturalnej, zakończony znagła, za powrotem, jak się rzekło, z wojny byłych żołnierzy, którzy odrazu ujęli ster wsi w swoje ręce, toczył się dość długo i nie bez zawziętych przemagań się obu stron, dwóch pokoleń. Dzisiaj on zamknięty: skończył się jeden rozdział historji wewnętrznej, wieś staroświecka ze swym obyczajem, systemem wierzeń i pojęć zasnuwa się zwolna mgłą oddalenia.

Na przełęczy między temi dwiema formacjami wsi, jedną odchodzącą nie bez oporu w przeszłość, a drugą, wkraczającą burzliwie w dzieje, arcyszczęśliwym zbiegiem okoliczności stanął świadek procesu, twórca - epik, Orkan. Całkowicie wpatrzony w sprawy wiejskie, mając je za wyłączny, jedynie upodobany temat twórczości, on tej Iljady obyczajowej miał się stać Homerem, pod jego piórem uzyskała ona wyraz artystyczny. Orkan pochwycił i zaklął w dzieło literackie ów wielki proces, rozgrywający mu się na oczach. Chciałoby się powtórzyć o nim to, co Krasiński niegdyś powiedział z racji „Pana Tadeusza“ o Mickiewiczu: „Poeta stał na przesmyku między znikającem plemieniem ludzi, a nami. Nim umarli, widział ich, a teraz już ich niema. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne“.

Wróćmy na chwilę jeszcze do zaznaczonego podobieństwa między tem, co ostatnio zaszło na wsi, a tem, co się przed stuleciem zgórą dokonało w świecie staroszlacheckim. Paralela bowiem jest także w tem, że i tamten „przewrót umysłowy“ znalazł był swój wyraz epicki. Pociągnął on ku sobie uwagę szeregu twórców, i to niebylejakich. Owóż mając na uwadze pozycję psychiczną pisarza-epika, wobec zaznaczonego, równorzędnego tu i tam, procesu przemiany obyczajowej środowiska, a nawet potrosze zważając pokrewny rodzaj talentów, możnaby w myśl powyższego pokusić się o zestawienie Orkana z jednym zwłaszcza z pośród tamtych twórców, z H. Rzewuskim; w tym sensie wolno powiązać malarza starowiejskości z malarzem staroszlachetczyzny. Przy dobrych chęciach dałyby się stwierdzić pewne zasadnicze jednorodności między „Nad urwiskiem“ a „Pamiątkami Soplicy“, między „W roztokach“ a „Listopadem“. Mowa oczywiście o podobieństwie gatunkowem, nie o pokrewieństwie w ścisłym sensie. Jeden i drugi twórca pochwycił kawał zamierzchającego życia, obyczaju, szereg typów „ostatnich“, by je zamknąć w gawędzie i w dziele powieściowem. Jeden i drugi porwał się zwycięsko na ujęcie literackie samej istoty procesu obyczajowego, samego węzła zmagających się dwu formacyj kulturalnych w obrębie jednego skupienia społecznego.

Obok podobieństwa zachodzi wszelako także i szereg różnic; z nich jedna zwłaszcza może nas tu bliżej obchodzić. Rzewuski, jak wiadomo, od samego początku i wytrwale odnosił z uwielbieniem do staroszlachetczyzny, a z uprzedzeniem do wkraczającego młodego prądu. Orkan w rozwoju swoim wewnętrznym doszedł również do tego, że uczuciowo przylgnął ostatecznie raczej do zanikających form życia starowiejskiego, ale do tego — powtarzam — dopiero doszedł po czasie niejakim. Wychodził zaś z czego innego; w utworach wcześniejszych jego przydział uczuciowy jest wręcz odmienny. Wszędzie tu: w „Nowelach“ z roku 1898, w zbiorze „Nad urwiskiem“, w „Komornikach“, w „Roztokach“, świat starych gazdów, naczelników rodu, dygnitarzy wsiowych i bogaczy, Chybów, Suhajów, jest dlań światem serc zakamieniałych, ostoją wyzysku, krzywdy społecznej; mierzi go i gniewa ten zastygły, stary porządek „skapanego świata“, i wszędzie, początkowo nieśmiało, potem coraz ostrzej, pisarz przeciwstawia mu świat młodych i miłe mu hasło buntu.

W tym oto sensie rozumieć trzeba, co się tu rzekło, że Orkan jest epikiem wsi, epikiem właśnie okresu przejściowego, piewcą fermentu, zmagań się dwu generacyj, a zarazem procesu przeistaczania się wsi na nowy ład. W pierwszej, najbujniejszej swej epoce ma on przytem serce przedewszystkiem dla czasów nadchodzących, dla młodych. Niemniej równocześnie oczyma uważnemi, czujnym wzrokiem epika ogarnia on cały plac boju, widzi Achillesów, ale i Hektorów tej walki; widzi i czuje.

W ten sposób mogło się dokonać to przedziwnego rodzaju zestrojenie między układem duszy twórcy a naturą procesu historycznego, którego miał on zostać piewcą. Przylgnięcie serdeczne do okolnej rzeczywistości wiejskiej i pasja surowej prawdy w jej odtwarzaniu z jednej strony, a z drugiej pasja poprawy społecznej, wyważenia krzywdy z jej ustrojowego ostępu, — obie te silnie współczynne tendencje jego psychiki mogły były znaleźć ujście, wyładować się w artystycznem odtwarzaniu owego właśnie procesu wielkiej przemiany.

Najpełniejszym owocem takiego właśnie zestrojenia się całej duszy twórcy z przedmiotem artystycznej uwagi będzie ostatecznie dopiero powieść „W roztokach“.

STANISŁAW PIGOŃ

ZABAWA „LALKĄ“

ZDARZYŁA mi się historja, przypominająca przygodę pana Chanterelle.

Kto to taki?

Bohater powiastki Anatola France'a p. t. „*Les étrennes de mademoiselle de Doucine*“.

W dniu 1 stycznia R. P. 1696 pan Chanterelle, zacny mieszczanin paryski, kupił dla swojej siedmioletniej siostrzeniczki, panny de Doucine — lalkę. Wyszedłszy ze sklepu, spotkał niejakiego pana Spona, który na widok zabawki uniósł się gniewem. — Lalka — wrzeszczał — (cytuję z pamięci) to figura djabelska. Powinno się ją właściwie nazywać idolem. Zwyczaj ofiarowywania podarków na kolendę odziedziczony po Rzymianach — jest pogańskim przeżytkiem z czasów bałwochwalstwa. Kto daje dzieciom lalki, ten gubi duszę itd. itd. itd.

Na poparcie swoich poglądów pan Spon przytoczył panu Chanterelle cytat z Tertuliana, poczem oddalił się, pozostawiwszy poczciwego wujaszka na pastwę wyrzutom sumienia.

Pan Chanterelle zmartwił się srodze. Duszę nurtowały mu wątpliwości, czy istotnie nie zasłużył na piekło. Szczęściem przechodził właśnie tamtędy kwestarz-kapucyn, który zwrócił się do zgnębionego poczciwca z prośbą o datek.

Dowiedziawszy sie, że zakonnik zamierza za otrzymaną jałmużnę kupić zabawek ubogiej dziat-

wie, pan Chanterelle, pokrzepiony na duchu, zaniósł lalkę swojej siostrzeniczce.

*

Z powodu przypadającej w roku bieżącym setnej rocznicy urodzin Stanisława Wokulskiego pozwoliłem sobie w dniu 7 maja wydrukować w „Gazecie Warszawskiej" artykuł z pytaniem konkursowem:

W którym mianowicie dniu i w jakim miesiącu urodził się bohater Prusowej „Lalki"?

Pobudką do rozpisania owego konkursu był list, który otrzymałem od pewnego lalkofila z Częstochowy. Zwrócił się on do mnie z powyższem pytaniem, jako do autora artykułów p. t. „Gdzie był sklep Wokulskiego?", oraz „Adres prywatny bohatera Lalki", drukowanych w „Gazecie Warszawskiej" w r. 1932 (n-ry 1 i 7).

Nie umiejąc sam odpowiedzieć mojemu częstochowskiemu korespondentowi na interesującą go kwestję, odwołałem się do czytelników, lepiej odemnie znających życiorys Wokulskiego, z prośbą, aby problemat ów rozstrzygnęli. Ogłosiłem, że kto najlepiej (na moje ręce) odpisze na to pytanie, ten otrzyma w nagrodę rzadkość bibljofilską — miniaturowe wydanie dzieł Mickiewicza w jednym tomie, liczącym wprawdzie zgórą tysiąc stronic, ale mającym rozmiary marki pocztowej.

Rozpisując ów konkurs nie przewidywałem, że ściągnę na siebie grom w postaci następującego anonimu:

Szanowny Panie!

Jako stały czytelnik i długoletni prenumerator „Gazety Warszawskiej" czuję się w prawie wyrazić Szanownemu Panu moje oburzenie z powodu jego fejletonu p. t. „Setna rocznica urodzin Wokulskiego".

W chwili, gdy całe społeczeństwo zajęte jest ważną sprawą obioru Prezydenta Rzeczypospolitej, odrywasz Pan uwagę narodu od zainteresowań pozytywnych i zaprzątasz ją, nadużywając w tym celu łamów dziennika politycznego, błahemi fikcjami.

Czynisz to Pan pod płaszczykiem kultu Prusa i powołujesz się na przykład Anglji, gdzie, jak donosił niedawno profesor Tarnawski — ukazało się od wiosny roku zeszłego kilka publikacyj, poświęconych biografjom Sherlocka Holmesa i jego przyjaciela d-ra Watsona.

Przeszczepiając owe wymysły angielskie na grunt polski, idziesz Pan — mam nadzieję, że nieświadomie — na rękę... itd. itd. itd.

Anonim ów, wypełniający cztery stronice pisma maszynowego, kończący się groźbą przerwania prenumeraty „Gazety Warszawskiej" w razie, gdybym się ośmielił na jej łamach zabawę „Lalką" kontynuować— wprawił mnie w rozterkę duchową.

Kto wie? — zadałem sobie pytanie — Może ja rzeczywiście idę mimowoli na rękę żydom czy masonom, ustalając adres firmy Wokulski i Mincel, proponując wmurowanie tablicy pamiątkowej nad „oknem Rzeckiego" w podwórzu kamienicy na Krakowskiem Przedmieściu Nr. 7, i wreszcie, rozpisując konkurs w sprawie daty urodzin bohatera „Lalki"?

Gazety doniosły niedawno, że prezes hiszpańskiego narodowego biura turystycznego, pan Enrique Ramos ustalił z całą dokładnością drogę Don Kichota. Hiszpańskie ministerjum robót publicznych naprawiło gościńce między Rebuzno i Balanes, żeby ułatwić turystom podróżowanie śladami pogromcy wiatraków. W miejscowościach Quintanar i Argamasilla odtworzono oberże ściśle według wskazówek Cervantesa... A przecież wiadomo każdemu czytelnikowi polskich gazet, że hiszpańskie ministerjum robót publicznych jest instytucją doszczętnie zmasonizowaną.

Z rozterki duchowej podźwignął mnie na szczęście list inny, otrzymany od pisarza notorycznie katolickiego, którego niepodobna posądzać o konszachty z masonerją.

Oto jego treść:

Warszawa 8.V.33.

Szanowny biografie Wokulskiego!

W ankiecie biorę udział z pośpiechem z uwagi na aktualność 8 maja. Jest to bowiem dzień urodzin Stanisława Wokulskiego.

Oto dowody:

Niepozorny ojciec sławnego Wokulskiego, pielęgnował— jak wiemy z „Lalki" — świetne, chociaż zszarzałe tradycje rodowe. Wokulscy według niego (a także według jego brata b. narzeczonego Prezesowej) należeli do zbiedniałych karmazynów; jak wiadomo podupadłe rodziny z pieczołowitością osobliwą zachowują obyczaje. Dobrą sposobność do zamanifestowania kultu tradycji mieli więc starsi państwo Wokulscy przy urodzinach syna: „Jakie chłopiec przyniósł sobie imię?" zapytali napewno wzorem swych pradziadów przed chrztem. „Ano Stanisław". — „Dobra nasza, patron Polski". Nie było powodów do zwady.

A że Stanisław Wokulski był majowem dzieckiem, świadczy też pobudliwość jego serca. Wdowiec po ś. p. Mincowej i wielbiciel panny Izabelli Łęckiej napewno nie przypominał świętego Stanisława Kostki.

Z poważaniem
Stanisław Miłaszewski

W ciągu miesiąca maja otrzymałem siedem listów, z których tylko jeden nie zgadza się z tezą Stanisława Miłaszewskiego. Pan Michał Kwiatkowski ze Lwowa, powołując się na poświęconą Bolesławowi Prusowi monografję Ludwika Włodka, twierdzi, że Wokulski urodził się w roku 1832. Nie ma racji. Ludwik Włodek, znakomity skądinąd znawca „Lalki" — w tym wypadku się pomylił. Przekonać się o tem może każdy, zrobiwszy rachunek na własną rękę. Wokulski miał w r. 1878 lat 45. Otóż 1878—45 = 1833.

Najobficiej umotywowaną odpowiedź nadesłał pan Włodzimierz Grell z Lublina (ul. Ewangeliczna 6/1).

Pisze on:

...dzieciom zwyczajowo nadaje się imię, zależnie od dnia w którym się urodziły. 8 maja jest dniem św. Stanisława, możliwe więc, że Wokulski, jako urodzony w tym dniu, otrzymał imię tego patrona.

Następny motyw:

Rzecki w swoim pamiętniku mówi:

„Szlangbaum wyprawiał urodziny... a choć i w połowie nie wystąpił tak, jak Stach w roku zeszłym..."

Wokulski w maju 1878 urządzał poświęcenie sklepu i o tem właśnie Rzecki wspomina. Możliwe, że Wokulski uroczystość tę połączył z obchodem swoich urodzin.

Wreszcie okoliczność, która według mnie też ma pewne znaczenie: maj zwykle zaznaczał się czemś w życiu Wokulskiego: maj 1877 r. — starał się o dyplom szlachecki, maj 1878 — poświęcenie sklepu i maj 1879 — wyjazd do Krakowa z Łęckimi i zerwanie z panną Izabellą.

Nasuwa się wobec tego przypuszczenie, że maj z tym jakby fatalizmem w stosunku do Wokulskiego—jest miesiącem jego urodzin".

Ponieważ odpowiedź powyższa jest umotywowana najobficiej, postanowiłem Mickiewicza w edycji dla lalek przyznać panu Włodzimierzowi Grellowi. Wyślę mu go równocześnie z niniejszym zeszytem „Myśli Narodowej", na której łamy zmuszony byłem przenieść zabawę „Lalką", nie mogąc narażać „Gazety Warszawskiej" na utratę anonimowego prenumeratora.

STEFAN GODLEWSKI

NA WIDOWNI

Czy słuszne lekceważenie? — Jak postępował Rzym? — Ambicja młodego pokolenia — Odmienność żydów i odmienna metoda ich zwalczania.

W GŁOŚNYM na cały kraj procesie łomżyńskim, wytoczonym z powodu niedawnych zajść przeciwżydowskich w Radziłłowie, p. prokurator Madey, w swem przemówieniu oskarżycielskiem, niemało gorszył się śmieszną, jego zdaniem, dysproporcją między górnością zasad ideologicznych Obozu Wielkiej Polski, a ich urzeczywistnieniem w działalności codziennej, polegającem przedewszystkiem na planowem oczyszczaniu życia polskiego z żydostwa. „Jak pogodzić wielkie hasła" — zapytywał — „z małemi żydkami, z któremi się prowadzi tak zaciekłą wojnę?"

Możnaby z miejsca zareplikować na to uwagą, że jeśli walka z wrogiem tak mizernym nie wydaje się p. prokuratorowi dość zaszczytną, to mniej zaszczytnem jeszcze byłoby wrogowi takiemu uleganie, kapitulacja posunięta aż do zrzeczenia się praw gospodarza na własnej ziemi, zgodzenia się, że Polska ma być państwem nie narodowem, lecz narodowościowem: polsko - żydowsko - . . . i t. d. Rzecz jednakże zasługuje na rozważenie bardziej szczegółowe i wszechstronniejsze.

Czy istotnie zwalczenie żydostwa jest zadaniem tak łatwem i drobnem, że niegodnem wielkiego państwa i narodu? W każdym razie nie podzielał tego poglądu Rzym za czasów Tytusa czy Hadrjana, bez zażenowania jakiegokolwiek przystępujący do walki z Judejczykami, a w zwycięstwie nad nimi odniesionem widzący jeden więcej tytuł do chwały, jak o tem świadczy do dziś jeszcze „*Arco di Tito*", łuk triumfalny, postawiony na *Forum Romanum* celem upamiętnienia zdobycia przez legjony rzymskie Jerozolimy. Narazie zaś nasyciłoby naszą ambicję mocarstwową osiągnięcie podobnego stanowiska w Europie, jak to, które w I i II wieku po Chrystusie zajmowane było przez imperjum Tytusów i Hadrjanów...

Wszak żydostwo, to jedna z wielkich sił powszechnodziejowych, działająca poprzez tysiąclecia, która wywarła i do dzisiaj w dalszym ciągu wywiera swoisty całkiem, ale nie bagatelny bynajmniej wpływ na kształtowanie się historji świata. Przed trzema tygodniami przytaczaliśmy Norwida obraz wsi polskiej[1]), gdzie „żyd, jak starożytny obelisk, ten sam, co za Faraonów, przy drodze stoi i odpomina wieki"... Zdawałoby się, iż raczej zuchwalstwo, niż małostkowość zarzucać będzie można ludziom, co tak stanowczą i odważną podejmują walkę z elementem tak niezniszczalnym. Zdawałoby się, iż o nieopatrzność raczej pomawiana być powinna ta młodzież, która tak rezolutnie, z gołemi rękami, postanawia zwalić z drogi polskiej ten odwieczny, Egipt jeszcze i Babilon pamiętający „obelisk". I w istocie nic chyba nie świadczy lepiej o ambicji historycznej pokolenia, o jego zdolności objęcia wzrokiem rozległych, dziejowych zadań, jak to właśnie, że przykry i zawstydzający epizod „sanacji" nie wypełnił jednak całkowicie widnokręgu jego myśli, że poza nim dostrzega ono i chce rozstrzygnąć zagadnienie — o zasięgu światowym i trwające od lat tysięcy. Sprawa żydowska, to wielka kwestja międzynarodowa, ale układ stosunków sprawił, że w Polsce mianowicie znalazł się jej węzeł najważniejszy i że naszemu narodowi przedewszystkim przypadł w udziale główny trud i obowiązek jego rozwiązania. Świadomość tej roli i jej znaczenia, poczucie odpowiedzialności stąd wynikłe, gotowość podjęcia jej — trudno przecież określić mianem... małostkowości...

— — — — — — — — — — — —

Niemniej jednak w poglądzie uznającym, że wojna z żydostwem nie dorównywa dostojnością moralną walkom z innemi narodami, zawarte jest, mimo wszystko, pewne ziarno prawdy. Ziarno to należy wyłuskać i zbadać, ułatwi to bowiem nietylko zorjentowanie się nieco bliższe w sprawie, o którą chodzi, ale da możność wyciągnięcia niektórych wniosków praktycznych, dotyczących samej już metody walczenia i jej skuteczności.

Wojna z narodem, z którym łączy nas wspólność zasadniczych podstaw kultury, albo przynajmniej najogólniejsze choćby podobieństwo pojęć o bohaterstwie, szlachetności, honorze — ma w sobie zawsze coś z rycerskiego turnieju, współzawodnictwa w dążeniu do pokrewnych, w ten sam sposób w gruncie rzeczy ocenianych wartości czy ideałów. To jest właśnie jej urok moralny, stąd jej wpływ wychowawczy i cywilizacyjny. Naród zdaje sobie sprawę z tego, że odeprze wroga wówczas tylko, gdy mu dorówna, dlatego uczy się szacunku dla dzielności przeciwnika, przejmowania tych cech, co stanowią sekret jego siły, zdobywa się na najwyższe napięcie swej energji, wyzyskuje wszystkie swe możliwości. Z tego powodu np. w Europie średniowiecznej w niemałej mierze wojny były czynnikiem postępu, pobudzając do wysiłków twórczych, a równocześnie przez naśladownictwo wyżej rozwiniętych form organizacyjnych, sposobów walczenia i t. p. przyczyniając się do pogłębienia jej kulturalnej jedności.

Wojna z żydami tego piękna i tych wartości wychowawczych nie posiada — to niewątpliwe. Świat to nazbyt obcy dla nas swą etyką, pojęciami, obyczajem, by taki system toczenia walki z nim był wogóle dla narodu europejskiego możliwy. Korzyści moralnych, które daje współzawodnictwo z przeciwnikiem rycerskim, walka budująca i kształcąca, nie należy przy rozprawie z żydami oczekiwać. Jaka jednak wynikać powinna ze stwierdzenia faktu tego konkluzja praktyczna?

Insekty, przenoszące zarazki epidemji, mogą być wrogiem ludzkości niebezpieczniejszym od lwa na pustyni, i nie zaniecha się walki z niemi z tej przyczyny, że nie dostarcza ona... emocyj polowania na grubego zwierza. Ale walka ta, nieraz wymagająca większej nawet ofiarności i czujności, prowadzona być musi na podstawie odmiennych najzupełniej pojęć i reguł.

Łowca lwów pragnie w pewnej mierze chociażby przyswoić sobie niektóre ich cechy: odwagę, zręczność, błyskawiczność decyzji, zżycie się z otaczającą przyrodą. Ale tępiąc insekty nie usiłujemy bynajmniej upodobnić się do insektów. Staramy się wytworzyć taki stan schludności i hygjeny, w których byt i rozwój tych stworzeń stałby się wogóle niemożliwy. Nie przez przystosowanie się do sposobu życia wroga, jak w walce z lwem, ale przez

[1]) Z poematu: „*A Dorio ad Phrygium*".

zorganizowanie warunków życia wręcz odmiennych, osiąga się powodzenie w tej dziedzinie.

Podobnież w wojnie z żydostwem nie przez „uczenie się od żydów“, przejmowania ich cech, „naśladowanie cnót“ żydowskich możemy rachować na rzeczywiste zwycięstwo, ale przez wytworzenie takich stosunków moralnych, prawnych, gospodarczych, w których „cnoty“ te jaknajmniej stawałyby się użyteczne. Wtedy właśnie wielkość toczonej walki nie będzie obniżona — brakiem dostojności moralnej u przeciwnika.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WSZECHPOLSKI KONGRES ESPERANCKI W WARSZAWIE. Żydowski „Nasz Przegląd“ (nr. 155) w uroczystej rubryce „Witajcie rycerze zielonej gwiazdy!“ ogłosił program tego zjazdu:

„VI Ogólnopolski Zjazd Esperantystów odbędzie się w Warszawie w dniach 3, 4, 5 czerwca b. r. pod Protektoratem Honorowym J. W. Pana Janusza Jędrzejewicza, Prezesa Rady Ministrów i Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Komitet Organizacyjny Zjazdu stanowią: p. p. Radca Minist. Kazimierz Zajączkowski — Prezes, Dr. Wilhelm Róbin i inż. Jan Skrzypiński — Wiceprezesi, Isaj Dratwer — Sekretarz Gen., Seweryn Piernik — Sekretarz, Lek. D-ta Edward Wiesenfeld — Skarbnik, Red. Oskar Berman i Piotr Nowakowski Członkowie Komitetu.

Do Komitetu Honorowego weszli: Wojewoda Wł. Jaroszewicz, Wojew. J. Olpiński, Prezydent Miasta inż. Z. Słomiński, Leo Belmont, Dr. M. Blasberg, Prof. Dr. O. Bujwid — Kraków, Dr. J. Fels — Lwów, Prof. Dr. Grzywo-Dąbrowski, Min. Al. Lednicki, Dyr. S. Łopatto, Prezes M. Mayzel, Prof. Dr. J. Muszyński — Wilno, Prof. Dr. S. Nowakowski, Generał Dr. S. Rouppert, Starosta A. Rżewski — Łódź, Red. S. Wagman, Dr. L. Zamenhof, dr. Z. Chamiec“.

W programie figuruje, jako pierwszy punkt, złożenie hołdu twórcy Esperanto, Zamenhofowi na cmentarzu żydowskim. Zaraz potem uroczyste otwarcie zjazdu w sali Rady miejskiej, po południu koncert — bal w salonach Rady miejskiej. Biura zjazdu mieszczą się w Radzie Miejskiej.

W-rze 156 „Nasz Przegląd“ podaje sprawozdanie z pierwszego dnia zjazdu. Przybyło 300 osób. Na cmentarzu żydowskim pierwszy przemówił dr. Edw. Wiesenfeld, potem Leo Belmont, w imieniu gminy żydowskiej mówił prezes Mazur. Zaczął mowę po polsku w te słowa:

„Kwestję, w jakim języku mam przemawiać mógłbym rozstrzygnąć łatwo, gdybym znał Esperanto. Niestety, nie znając go, zmuszony jestem mówić w języku innych; a że jestem na cmentarzu żydowskim, więc pozwolę sobie przemówić po żydowsku.“

Dalej prezes Mazur oświadczył:

„W czasie, gdy przez spalenie dzieł, myśli się, że się spali ideę, że się spali język, uroczystość manifestująca, t a k i d e a l i s t y c z n y s t o s u n e k d o l u d z k o ś c i, jest zjawiskiem zasługującem na gorliwe poparcie“.

W imieniu rabinatu mówił rabin Posner, a po nim prof. Odo Bujwid (Polak?).

W południe — czytamy dalej — otwarcia zjazdu w „salonach Rady Miejskiej“ dokonał radca minist. Zajączkowski, na przewodniczącego żydzi powołali Bujwida.

Szereg powitań: w imieniu prezydenta miasta ławnik Bychowski, żyd, później od żydów Schorr, Róbin, Zamenhof, Berman, Belmont. Poczem:

„Przewodniczący kongresu odczytał depeszę od Prezesa Rady Ministrów“.

ACHAD-HA-AM, CZYLI ASZER GINSBERG, twórca nowej polityki syjonizmu, pozostawił następcę w osobie ukochanego ucznia swojego, obecnie krakowskiego rabina — Ozjasza Thona. Ten owóż Thon, jak każdy Szejne-morejne lubi przyswajać sobie zewnętrzne gesty, stanowisku swojemu przystojnie, z których powstają zazwyczaj pozy w stylu kabaretowym. Oto, naprzykład, jedno z ostatnich wystąpień wielkiego rabina, w jego „Nowym Dzienniku“ wydrukowane, tak się zaczyna:

„Zwrócono mi uwagę na serję artykułów, którą publicysta regius a zarazem nieukoronowany król polityczny narodowej demokracji poświęcił pod wspólnym tytułem: „Żydzi w dwudziestym wieku“... przepowiedniom co do dalszego istnienia, względnie nieistnienia narodu żydowskiego, jako całości“.

Poczem opodal dodaje, że treści tych artykułów „nie poznał dokładnie“, co jednak nie przeszkadzało mu w długim wywodzie z ich treścią polemizować.

Oto swoisty gest dostojności! On — rabin Thon, choć pospolity redaktor i publicysta, w tak niedostępnych przebywa „regjonach“, że nie mógł sam dojrzeć, a i nie wypadało mu poznać dokładnie przedmiotu, o którym szeroko się rozpisuje... Co za królewskość!.. aj! Co za majestat!.. waj! Cały dwór chałatowy, dookoła lisiej czapy stłoczony, cmoka z podziwu.

Jakkolwiek śmieszny, z gumowego manekinu zrobiony, majestat ten ma jednak swoje uzasadnienie rzeczowe, o czem czytelnik dowiaduje się z dalszego ciągu rabinowej przemowy. Wspominając, mianowicie, o „niesamowitych podziemiach“, w których „mędrcy Syjonu knują swoje piekielne spiski przeciw wszystkim narodom świata“, rabin Thon tak dalej ironizuje:

„Jakżeż — przecież jakieś tam poczesne miejsce w żydostwie zajmuję, — dlaczegoż się mnie nigdy nie przyciąga do takich niezmiernie miłych misterjów? A już najmniej mogę tę wyraźną obelgę przebaczyć masonerji Bnai-Brith, w której także od trzydziestu lat zajmuję wcale znaczne miejsce, a jeszcze mnie nigdy do żadnych tak przyjemnie nerwy łechcących tajemnic nie dopuścili“.

Jak widzimy, całkiem niespodziewanie natrafiliśmy na wiarogodne świadectwo, że rabin Thon zajmuje znacznie miejsce w tajnej żydowskiej organizacji Bnei-Brith, która kieruje masonerją polską. Jest on tedy nieukoronowanym królem masonów polskich, a to bezwątpienia upoważnia go do jaknajbardziej gumowej dostojności. Słania się więc powolnym ruchem w tę i ową stronę, jak dwupiętrowy manekin z samochodowych opon „Dunlop“ dla reklamy obwożony, „nie dostrzega“, nie poznaje, wyrocznie się wysławia, z wysokich wysokości uśmiecha się łaskawie i dowcipami pyka.

Skąd atoli, spytajmy, to w gumie ukryte rozdrażnienie na punkcie „mędrców Syjonu“, bez logicznego powodu, do orędzia wtrąconych? Czy to nie przysłowiowe nożyce brzękły w dostojnie brzmiącym cymbale?

„OSUSZENIE BŁOT PIŃSKICH STAJE SIĘ AKTUALNE". Informuje o tem organ syjonistów. „Nasz Przegląd". „Prace mogłyby nabrać rozpędu" — czytamy — „gdyby znalazły się kredyty na cel tak poważny i doniosły. Zaznaczyć bowiem należy, że przez osuszanie błot pińskich uzyska się wielki obszar ziemi, nadającej się pod uprawę, a zwłaszcza przystosowanej do hodowli zwierząt domowych. Kolonizacja tych terenów byłaby łatwa, gdyż już po półrocznem zamieszkaniu kolonista mógłby żywić się sam bez wszelkiej pomocy. Obecnie sprawa staje się aktualna w związku z ofertą grupy szwajcarskiej, która zamierza te prace sfinansować".

Skąd to zainteresowanie syjonistycznego dziennika sprawą polskiego Polesia? Spodziewać by się można, że pismo tego kierunku winno zajmować się kwestją hodowli pomarańcz w Tyberjadzie, koncesyj osiedleńczych w Transylwanji, koleją Tel-Awiw-Haifa, czy innemi zagadnieniami palestyńskiemi. Ale syjoniści już dawno przestali być utopistami, marzącymi o skupieniu wszystkich żydów w Palestynie. Uważają ją wyłącznie za centrum duchowe, jednoczące diasporę, lecz jej nie likwidujące, centrum geograficzne i populacyjne ma leżeć gdzieindziej: na ziemiach polskich. Dlatego meljoracja Polesia tak interesuje Żydów. Możnaby na osuszonych błotach osadzić kolonistów, „hodujących zwierzęta domowe"; już po pół roku bez dalszych dopłat mieć rentowne gospodarstwa. Koszty osuszania poniosłoby oczywiście Państwo Polskie przez obciążenie się ogromnym długiem. Ale to nie odstrasza widocznie obecnych władców kraju. Już kilka lat temu — przypominamy — ambasador Filipowicz składał w tej kwestji wiążące przyrzeczenie żydom nowojorskim. Obecnie, widać, przychodzi chwila urzeczywistnienia obietnicy. „Grupa szwajcarska, zamierzająca finansować prace", poczuła się widocznie dość silna, aby stworzyć pewne fakty dokonane, tembardziej że rozumnie konieczność pośpiechu. Warunki bowiem mogą się zmienić i wówczas nie będzie kogo ani co finansować.

OSŁAWIONY WOJCIECH STPICZYŃSKI, obecnie — redaktor naczelny „Kurjera Porannego", wielce honorowany przez żydów, udzielił wywiadu doktorowi D. Lazarowi z żydowskiego „Nowego Dziennika" w sprawie hitleryzmu. „Niegdyś czołowy publicysta obozu marszałka Piłsudskiego, dziś — tylko jeden z czołowych" (jak go p. Lazar nazywa) rozgadał się szeroko, a na wstępie ujął sprawę zasadniczo w słowach, które do każdego kraju i państwa zastosował... I rzekł:

„Uważam, że *regime*, opierający się na ujarzmieniu człowieka, na podziale społeczeństwa na kastę uprzywilejowaną i ujarzmioną, *regime*, oznaczający powrót do indyjskiego systemu kast, gdzie w dodatku kasta rządząca pozbawiona jest wszelkiej myśli swobodnej, gdyż myśli za nią tylko jeden człowiek, *regime* taki jest absolutnie niewspółmierny do (-(!)-) czasów dzisiejszych"... „Próba ujarzmienia człowieka na dłuższą metę nie da się utrzmać. Jeśli od systemu silniejszych rządów przechodzi się odrazu do metod, polegających na brutalnem chwytaniem przeciwnika „za twarz", to jest to produktem tego, że na czele hitleryzmu nie stanęli ludzie wielcy, myśliciele i odpowiedzialni kierownicy, ale ludzie mali i demagodzy. A demagodzy nigdzie jeszcze ludzkości daleko nie doprowadzili"... „Nawet w ustrojach najbardziej arystokratycznych elita rządząca miała pełną swobodę myśli. Tylko w carskiej Rosji absolutny monarcha myślał za wszystkich".

Słusznie, panie! słusznie! Ale — że też trzeba było aż całego przewrotu w Niemczech, żeby z głowy „czołowego publicysty" polskiego tak swobodną myśl wykrzesać!

A w przeciwieństwie do Niemiec, jakże to biegunowo inaczej dzieje się w Polsce współczesnej! Bo oto, co o tem mówi p. Stpiczyński:

„Polska pierwsza w Europie wybrnęła z niemocy parlamentu, a jednak nie złamała i nie zniszczyła możliwości rozwoju wszystkich sił państwowych"... „U nas nie zniszczono pracy stronnictw opozycyjnych, opozycja działa i istnieje jawnie, mając całkowitą możność wpływania na bieg życia państwowego".

Jak widzimy, pomimo degradacji z „czołowego" na „jednego z czołowych", różowy humor dopisuje panu na Stu Kondemnatkach.

NAUKA I LITERATURA

SZTUKA NA POMORZU

WŚRÓD kleru katolickiego w Polsce grupę bardzo wybitną stanowią księża pomorscy. Warunki polityczne i społeczne oddały im prymat intelektualny miast pomorskich. Duże zrozumienie dla spraw kultury naukowej, wyróżniające duchowieństwo tamtych diecezyj, ujawniło się także realnie: plon badawczy literacki księży pomorskich w ostatnich latach kilkudziesięciu wyraża się niemałą liczbą dokonań naukowych. Zainteresowania to przeważnie historyczne, ściślej — historyczno-kościelne. Regjonalizm? oczywiście, dyktowany terenem. Regjonalizm jednak wsparty solidną metodą naukową i bynajmniej niezasklepiony. Ks. Kujot, ks. Mańkowski, ks. Łęga — oto nazwiska, z pośród wielu innych, rzucające pomost między nauką „regjonu" i nauką całego kraju.

W duchowieństwie pomorskiem miejsce niemal odosobnione z uwagi na indywidualne zamiłowania badawcze (historja sztuki) zajmuje ks. Bolesław Makowski, autor m. in. rozprawy o Chodowieckim, którą ogłosił niedawno „Rocznik Gdański". Etapami dotychczasowych publikacyj, szczegółowych i monograficznych, przygotowywał się ks. Makowski do napisania swojego *opus*. Instytut Bałtycki w Toruniu, jako tom IX „Pamiętnika", wydał właśnie syntetyczne dzieło autora: „Sztuka na Pomorzu, jej dzieje i zabytki". Książka owa stanowi ważną pozycję w pracy wydawniczej Instytutu, czemu przyświadcza m. in. niemałe zainteresowanie, jakie „Sztuka na Pomorzu" w polskim świecie naukowym zasłużenie wywołała.

Autor miał poprzedników w Niemcach. Badania te ogarnęły przeważnie średniowiecze, czasy gotyku. Niewątpliwa supremacja sztuki niemieckiej, utrzymana przez Zakon, utrwaliła dookoła silne wpływy niemieckie. Ten właśnie okres zbadano, sfotografowano, zinwentaryzowano najdokładniej. Zacną intencją autora stało się przezwyciężenie panujących dotąd uprzedzeń. „Okresami odrodzenia, baroku, rokoka, gdy Polska i jej wpływy kulturalne" — pisze ks. Makowski — „ponownie zawładnęły Pomorzem, prawie nikt się nie zajmował. Rezultatem tego stanu nauki byłoby mniemanie, że te właśnie okresy były jakiemś *vacuum*, pustynią, znaczoną piętnem kulturalnej martwoty". Zapełniając niedostatki badań poprzednich, szczególną uwagę zwraca autor na czasy pogotyckie, nowożytne, odrodzenia i baroku, skazany tu niemal wyłącznie na drogi własne. Cały ów materjał plastyczny, łączący silnemi węzłami ludzi i idej kraj po-

morski z Polską. Całe to dostatnie bogactwo zabytków, konstrukcyj, fotografij oraz mnogość niebylejaką nazwisk polskich artystów, którzy zwłaszcza w w. XVII i XVIII Pomorze zalegli — wszystko to przyznać należy osobistej zasłudze naukowej autora. Zrąb naczelny książki — ideę sztuki polskiej, władnącej Pomorzem w czasach dawnej Polski niepodległej — podmurowano zasobnym materjałem faktycznym.

Książka ks. Makowskiego jest pionierska. Ona też będzie punktem wyjścia wszelkiej pracy uzupełniającej i syntetycznej, którą chlubnie inauguruje. Nietrudno już, gdy mamy pod ręką pełną szczegółów i drobiazgowych ustaleń książkę autora, wyłuskać skupiające idee ogólne, które wiążą materjał rozproszony w kompleksy większych całości. Szczególnie ciekawą wydaje się tutaj idea mecenatu artystycznego, gdy zwolna wymyka się z rąk rodów magnackich na rzecz zakonów, odnajdując ważne paralele w życiu ogólnem, kulturalnem i literackiem, epoki.

Wszystko razem nadaje pięknej publikacji ks. Makowskiego osobliwą wagę. (E. P.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Niedawno ukazała się na półkach księgarskich bardzo cenna książka, poświęcona gospodarczym stosunkom, istniejącym w Gdańsku. Jest nią „Rozwój portu gdańskiego" napisany przez Kazimierza Świąteckiego (Toruń, Instytut Bałtycki str. 288) Książka, poza wstępem, rozpada się na dwie części, z których pierwsza poświęcona jest urządzeniom portu gdańskiego po wojnie, druga obrotom handlowym portu gdańskiego. Książka zawiera bardzo bogaty materjał cyfrowy, zwłaszcza zaś bardzo interesujące dane, dotyczące konkurencji Gdańska z innemi portami, specjalnie zaś portami niemieckiemi. Cechą dodatnią książki jest traktowanie Gdańska, jako czegoś swojego, a nie obcego, jako czynnika, który może narazie sprawiać dużo kłopotu, ale którego nie powinniśmy niszczyć i osłabiać, lecz wszystkiemi siłami dążyć do usunięcia stamtąd wpływów obcych i uczynienia go całkowicie polskim. (J. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazała się książka, pióra Eugene Dévaud pt. „*La pédagogie scolaire en Russie soviétique. La doctrine*". (Paris. Desclée de Breuwer et C-ie).

Pedagogika bolszewicka, — pisze Dévaud — idąc ściśle po linji ideologji państwowej, nie uznaje zgoła szkoły apolitycznej. Zadaniem szkolnictwa jest wychowywanie szerokich mas proletarjackich w tym duchu, by kiedyś, w przyszłości, Rosja mogła się stać odskocznią dla rewolucji wszechświatowej. Dziecko, które w społeczeństwach chrześcijańskich należy najpierw do Boga, potem do narodu i do rodziny, w Rosji sowieckiej jest własnością państwa.

Apostołowie bolszewizmu wierzą, iż prowadzi on do idealnej szczęśliwości, opartej o bezwzględną wolność, o nieznany dotąd, powszechny dobrobyt i o niesłychanie wysoką kulturę. Jest rzeczą zupełnie naturalną, według pedagogów rosyjskich, że do tego Edenu idzie się przez gwałt i przez krwawy terror. Wzniosły cel uświęca bezwzględnie środki.

W realizacji ideałów bolszewickich młodzież ma odegrać ogromną rolę. Nauczymy dzieci, aby zmieniły świat, wzniesiemy góry mocą naszego entuzjazmu — oto hasła, jakiemi operują bolszewicy. Lenin, w przemówieniu, wypowiedzianem do młodzieży w 1920 r., wyraźnie podkreślił zadanie, jakie młodzież ta ma spełnić. Myśmy powalili burżuazję— stwierdził on wtedy — wy macie dokonać rzeczy ważniejszej, macie stworzyć raj materjalistycznej ideologji. Z tego krótkiego zdania można łatwo wydedukować dalsze postulaty pedagogów rosyjskich. Typ wykształcenia, uznany przez nich, będzie wyłącznie typem politechnicznym. Ten program przejęli od Marxa. Zapanowanie nad materją i nad siłami przyrody, doprowadzenie produktywności do ostatecznych granic, oto droga, po której ludzkość ma dojść do zupełnie idyllicznych, zupełnie bajkowych wyżyn szczęścia. Ale ponieważ w świecie istnieje tylko materja, ponieważ człowiek jest jej okruchem jedynie, więc na tych wyżynach nie może być Boga. — Myśmy zniszczyli królów ziemskich — mówią przedstawiciele starszego pokolenia bolszewików, — młodzież winna unicestwić niebieskiego króla. Więc całe szeregi metodycznie ułożonych zapytań i ćwiczeń prowadzą w szkolnictwie sowieckiem do tego, by przekonać, że niema Boga. Hierl w swych pismach poucza jak Go „zlikwidować". Wykazuje on, że fetysz dzikich ludzi niczem się zasadniczo nie różni od świętości chrześcijańskich. Z biegiem wieków Bóg staje się coraz mniej potrzebny, natura zaś coraz uleglejsza woli ludzkiej. Obowiązkiem więc szkolnictwa jest szerzyć obrzydzenie do praktyk religijnych i wykazywać, że przedstawiciele Kościoła wspierali zawsze ustrój kapitalistyczny. Wszakże burżuazja z okresu Woltera umiała już drwić z religji, niechże teraz klasa robotnicza zada jej cios ostateczny.

Dévaud twierdzi słusznie, iż w zasadniczych linjach pedagogiki sowieckiej niema nic tak dalece nowego. Wszakże drogę bolszewickiemu ateizmowi utorował liberalizm, tak bujnie kwitnący w końcu XVIII stulecia. Grzechy Rosji sowieckiej są grzechami starej Europy, doprowadzonemi do ostatecznych granic. Pedagogika ta grzeszy również niekonsekwencją. Jeśli bowiem nad światem panują tylko stałe i niezmienne prawa fizyczne, jeśli ludzkość podlega nieubłaganemu determinizmowi, jeśli myśl, jak twierdzi Bucharin, jest cechą przyrodzoną uorganicznionej natury, to poco wogóle kształcić dziecko? Czyż nie logiczniej będzie, jeśli rozwój jego pozostawimy tylko wyłącznie prawom tejże natury.

Książka, omawiana dzisiaj, nie przynosi może zbyt wiele nieznanego materjału, ale ten, który podaje, opiera na dokumentach autentycznych, zestawia je przejrzyście, malując z przerażającą wyrazistością atmosferę moralnego nihilizmu, który szerzy tak bardzo „polityczna" w swych programach i tak bezwzględnie „państwowa" szkoła Rosji sowieckiej.
(M. D).

*

Z powodu czterechsetlecia „*Collège de France*" (1533 — 1933) została wydana książka jubileuszowa, przedstawiająca dzieje tej sławnej instytucji. Na księgę tę złożyły się prace uczonych francuskich, obecnie wykładających w „*Collège de France*". I tak: prof. Abel Lefranc daje zarys początków tej instytucji, profesorowie Langevin, Meillet, Marion i t. p. piszą o wykładach fizyki, gramatyki porównawczej, ekonomji politycznej, sanskrytu etc., jakie się tu odbywały. Bergson wywołuje postać Claude Bernard'a, a P. Hazard trójcy przyjaciół: Michelet'a, Quinet'a i Mickiewicza. Książka pięknie jest ilustrowana.
(W. J.)

TEATR

„TEN STARY WARJAT" ST. KIEDRZYŃSKIEGO

WYSTAWIONA w teatrze Letnim komedja Stefana Kiedrzyńskiego trzyma w napięciu uwagę słuchaczy przez trzy nieco przydługie akty. Pisarz charakterystycznie warszawski, rzecz dzieje się w Warszawie w sferze na pół ludowej, sięgającej jednak poziomu salonów (z lokajem). Jak zawsze u tego bardzo płodnego i żywiołowo bujnego pisarza, brak w tej sztuce perspektywy społecznej, nawet moralnej. Aczkolwiek więc teren tak dobrze nam znany, nie możemy się połapać, skąd ten szmat życia został wykrojony.

Sytuacja jest taka: Zastajemy na scenie wesołą wdówkę, Laurę Wyszańską—koło niej wszystko się będzie obracało. Czeka na otwarcie testamentu nieboszczyka męża, na razie w wielkich tarapatach finansowych. Pociesza się Kaziem, chłopcem z niskiej sfery, ale z pańską fantazją. Oboje lekkomyślni, bez charakterów. Lichwiarz, żyd Rajgrodzki, któremu pani winna znaczne pieniądze, swatczy jej narzeczonego, o którym się dowiedział, że czeka również na otwarcie jakiegoś testamentu. Narazie jest oberwańcem, utrzymującym się z handlu psami. Przyjaciół ma takich, jak dozorca domu, właściciel baru, handlarz starzyzną.

Wdowa z odrazą na niego patrzy, ale niebawem dowiaduje się, że oboje czekają na ten sam zapis i że testament obdarza oboje porówno miljonami z warunkiem, że się poślubią. Zapisodawca naprawia w ten sposób krzywdę, jaką wyrządził był tym ludziom. Laura wyszła bowiem za niego (starego człowieka) tylko dla pieniędzy, a przekonał się, że zerwało się w ten sposób jej narzeczeństwo z biednym młodzieńcem, którym właśnie jest ten Kajetan, handlujący teraz psami.. (Zeszedł na psy). Oczywiście, wdówka przemaga wstręt do psiarza znowu dla pieniędzy.

Są bogaci. Ona zatrzymała Kazia, z którym się ciągle całuje, z mężem jest na dystans konwenansu. Wzięli do siebie siostrzenicę męża, Haneczkę. W niej zakochuje się Kazio, o czem nie wie pani Laura, kombinująca stale, jakby narzuconego sobie męża się pozbyć. Usiłuje odebrać mu spadek przez unieważnienie, zastrzeżony był bowiem w testamencie warunek uczciwej przeszłości. Miła żona wynajmuje świadka, który ma udowodnić przed sądem, że Kajtuś kradł psy na ulicy.

Rzeczeni wyżej przyjaciele udaremniają ten zamach, świadkowi grożą połamaniem kości. Ten próbuje szantażu.

Kajtuś chce dobrowolnie dom opuścić, pozoruje niewierność. W ręce żony wpada list jakiejś fordanserki, który otwiera jej oczy na wartość cnotliwego Kajtusia. A że przytem dowiaduje się, iż Kazio jej nie kocha, a upiera się przy Haneczce, więc jedna się z mężem i wszystko jako tako się kończy.

Wynikałoby, że potrzeba nauki moralnej ze strony kobiety publicznej, aby kobieta „porządna" mogła obudzić w sobie duszę ludzką. Z drugiej strony zaczepiona na ulicy „studentka" przerabia łajdaka Kazia na dzielnego młodzieńca. Może ta druga przemiana się udała, ale w pierwszą nie wierzymy. Pani Laura bowiem nie ma duszy. Artystka, która ją grała (p. Kamińska), nie miała poprostu czem grać—pustka. Typ Kazia (p. Michalak) najstaranniej opracowany przez autora, ale jakże niewiarogodny w swej wrażliwości i manjerach, jeżeli się wie o jego pochodzeniu. Niewiarogodny jest również stosunek Kazia do pięknej pani, jawny, tolerowany przez otoczenie, nawet przez męża, który go lubi. Ludzie komedjowi dobrze podpatrzeni, ale stosunki między nimi, jak powiedziałem, bez perspektywy społecznej, bez ceremonji całkiem, mechanicznie zestawione.

Całość zbyt rozwlekła. Gdyby ten bogaty materjał przepracować przez nadanie mu jakiego takiego charakteru moralnego, społecznego czy poetyckiego, to znaczy przez wydobycie z niego symbolu, komedja wieleby zyskała na wartości literackiej i na efekcie scenicznym. Za mało ceremonji robimy sobie w Warszawie ze sztuką.

Są w Teatrze Letnim artyści, pp. Fertner i Kurnakowicz, dla których — zdaje się — specjalnie sztuki są dobierane, a nawet pisane. Witani są zawsze sympatycznie. Pan Fertner nadaje swej mowie akcent semicki, a w tej sztuce źle to wypadło, gdyż trzeba było typ mieszczanina polskiego przeciwstawić żydowi. Rajgrodzkiego grał doskonale p. Orwid. P. Michalak w roli Kazia grał swobodnie i ładnie. P. Czaplińska w roli służącej doskonała.

Zwrócić należy uwagę majstrom scenicznym, że dopuścili się barbarzyństwa, zawieszając na scenie lustro. Lewa strona sali przez długie dwa akty znosiła męczarnie, ponieważ w lustrze jarzył się szereg lamp z górnej rampy. W dodatku scena w obu aktach w oknach miała słońce. Czyżby to było umyślne, niby że komiczne?

W.

LISTY DO REDAKCJI

Otrzymaliśmy list następujący:

Wielce Szanowna Redakcjo!

Odpowiadając na skierowane do mnie przez Szanowną Redakcję zapytanie, wyjaśniam, że zwłoka w ogłoszeniu listów Wyspiańskiego wynikne jedynie i wyłącznie z trudności, jakie napotykałem i napotykam w dążeniu do skompletowania tych listów. Są bowiem jeszcze dziś adresaci czy posiadacze pewnych listów, którzy na prośbę uzyskania oryginałów lub choćby ich odpisu odpowiadają odmownie. Mimo to przeszkody te udało mi się do tyla pokonać, że wciągu bieżącego roku ukaże się tom I wydania kompletnego.

Wiem dobrze, iż pośród ludzi, grających chętnie rolę gorliwców, zatroskanych o los spuścizny Wyspiańskiego, większość czyni to z pobudek, z któremi nie mam zamiaru liczyć się ani się rozprawiać. Do wszystkich innych kieruję powyższe oświadczenie, które uważam za wystarczające.

Łączę dla Wielce Szanownej Redakcji wyrazy wysokiego poważania.

WŁODZIMIERZ ŻUŁAWSKI

Kraków, 26 maja 1933.

Na skutek telefonicznych zapytań naszych prenumeratorów w Warszawie, zawiadamiamy, że inkasowanie prenumeraty na kwartał III rozpoczniemy z ukończeniem roku szkolnego t. j. 16 czerwca.

Sz. Czytelników naszego pisma, którzy wcześniej wyjeżdżają ze stolicy, prosimy o przekazanie należności za pośrednictwem P.K.O. — Konto 3105.

OFENSYWA

PROWOKACJE PARSZYWCÓW

NA ZJAZD Pen-Clubu w Dubrowniku pojechali w tym roku: żydek z Podgórza, pół-żyd z Krakowa i dwóch niedorozwiniętych umysłowo słabogłowych statystów polskich (*comparcerie*); czwórką tą dyrygował niejaki Szalom Arsch czy Asch, obleśny, tłusty, niepachnący jewrej pół-niemiecki, pół-amerykański, pół-rosyjski, piszący podobno powieści, swego czasu nikczemny kalumnjator armji polskiej, nietylko niepowieszony za to na pierwszej lepszej wolnej suchej gałęzi, ale dzięki „stosunkom" w New-Yorku (?) ozdobiony nawet jakimś orderem, i do Warszawy wpuszczony. Miały apetyt jechać do Dubrownika literatki: Helena Krahelska, Stanisława Kuszelewska i koleżanka Goldberżanka (Krzywicka), ale im wyperswadowano. Z innych „24 narodów świata" wysłano też drugi garnitur trzeciej sorty i też przeważnie notorycznych żydów, albo recydywistów-żydów. Jakiem prawem i z jakim profitem zdecydował się wmieszać w tego rodzaju międzynarodową *bagage* (śmieciarnię) pisarz tej miary, co H. G. Wells, ba, nawet prezydować na zlocie odpadków i trocin, to już doprawdy trudno odgadnąć. Faktem jest, że przewodniczył.

Ostro wystąpiły dwa nasze *Ostjud*'y. Mimo podobno zakazu w instrukcji, jaką pan Kaden otrzymał, dostając do kabzy „*Taschengeld*" na drogę, wyrwał się z filipiką antyniemiecką warszawski komunista, pokątny adwokat, niejaki dr. Breiter, swego czasu skompromitowany w aferze z pomnikami poległych żołnierzy niemieckich. Obskurnawy ten żydłaczek dawniejszemi czasy często wyjeżdżał do Berlina dla niewiadomych celów i konszachtów. Teraz w Dubrowniku bolszewizujący adwokat rzucił się z zajadłością na naród Hitlerów i Hillerów, w obronie „człowieczeństwa" i „cywilizacji". Poparł osobę z Ghetta podgórskiego jeszcze obskurniejszy typ, o gębie *Lustmörder*'a czy *Leichenschänder*'a, znakomity, światowy powieściopisarz, którego się pamięta jeszcze pejsatym szajgecem i do któregośmy mawiali *per* ty i *per* on: niech siada!

W r. 1933 w maju, ten spasły kasztan, na niemieckich książkach wykształcony, urągał i charkał na Niemców w słowiańskiem mieście, pewny i dufny, że ma za sobą część audytorjum i nikt mu tu pyska rajtpajczem nie wytrzepie. Szczuł i poszczekiwał na Niemców także paryski kudłaty, brodaty, monstrualny Cremieux, oraz szajgece belgijskie i angielskie.

Polskie statysty z fraucymeru żydowskiego podobno aplaudowały kornie i Arscha i Kaifasza.

W Dubrowniku, w ludności poczciwej zjazd pennisów europejskich nie tylko nie wywołał imponującego wrażenia, ale pono wprost kpiny i szyderstwa. Oczekiwano elity, a zjechało tałałajstwo. Natomiast dumna ze swego Szaloma familja na Kremlu i w Będzinie; w Podgórzu zaś ciocia Lufa Kugel rozpłakała się ze wzruszenia, gdy na fotografji „dostrzegła" dawnego swego małego hercpinkla, teraz na tle „najznakomitszych szryftsztelerów" XX wieku.

Kadena też owacyjnie przyjęła familja po kądzieli, jakoże pomógł pomścić krzywdy Izraela i podsadzał Breitera; *spiritus flat, ubi* żydy każą.

Najmizerniej w tem wszystkiem wyglądają te statysty aryjskie, obgryzające tylko chude kości ze Złotego Cielaka.

* * *

W Budapeszcie równocześnie miał miejsce jakiś znów „Kongres Prasy", „Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy". Tu znowu na czele delegacji polskiej stał zgrzybiały, zjejczały, zeprzały do krzty wyjadacz i famulus krakowskiej Stańczykerji, całe życie intryganckie beztalencie, całe życie zero, dwa zera. Przy tępym, sennym Beauprém, de Hindenburg Beauprém, pod jego skrzydłami opiekuńczemi rozwinął swą elokwencję młody, pyskaty dr. Gottlieb. Ten czelny *Ostjude*, wrzeszcząc i zapluwając się z wścieklizny postawił wniosek usunięcia związku prasy niemieckiej z „Międzynarodowej Federacji". Żydzina musiała się na tym kongresie wyjątkowo rozbuchać, kiedy gudłaja zczesał końskiem zgrzebłem austrjacki s o c j a l i s t a Zappeler, choć, jak wiadomo, socjały austrjackie są z Hitlernikami na noże. Doszło nawet do burzliwej awantury między socjalistą a szrajbełesem. *Krakauer* Beauprzak oświadczył, że wniosek *Ostjud*'a uważa za usprawiedliwiony i proteguje. Swego czasu kurtyzan protegował zatopienie „Lusitanii" i zapraszał feldmarszałka Hindenburga do Krakowa na Wawel.

Gottliebowi po powrocie urządzono *Fackelzug* na Nalewkach. Zemścił się! Zwycięstwo! Niemcy leżą w Budapeszcie. Beauprému wdzięczni żydzi przesłali tonnę papieru sanitas... jako serwetki... dożywocie.

* * *

Na zjeździe prawników europejskich w imieniu Polaków przemawiał w Palermo mecenas Rappaport z Warszawy, a w Bolonji osławiony ongiś z manipulacyj delatorskich prof. Taubenschlag z Krakowa, „Rafałek".

Natomiast w praskim „Ruchu Filozoficznym" (miesięcznik), w numerze poświęconym „Filozofji Słowiańskiej", polską filozofję reprezentował teraz niejaki Metalman z Krakowa. Praca nosiła tytuł: „Elementy przyczynowego determinizmu".

Ciekawszą byłaby praca o „Przeczynach elementarnego determinizmu" polskiego, objawiającego się w oddawaniu wszędzie pierwszeństwa żydowskim elementom, idącym falangami na przyduszenie, zdławienie, wygłodzenie polskiej, rdzennej inteligencji.

* * *

Po zaburzeniach z końcem listopada r. 1932 w Szwajcarji, podekscytowany, wniebowzięty kryptokomunista i stuprocentowy agresywny Jehuda pisał w swej Słonimskiej Kronice z dnia 5 grudnia:

„Wydaje się chwilami, że przeżywamy w naszych czasach śmierć fanatyzmu. Człowiek ulicy przestaje zdejmować czapkę przed kościołem, przed sztandarem wojskowym i przed chorągiewką partyjną. Człowiek Europy zaczyna dojrzewać do zrozumienia, bez którego niema zmian istotnych w organizacji życia. Tłum staje się ludzki. Zarówno tłum bezrobotnych pod kolumną Nelsona, jak i tłum socjalistów, który wraz z komunistami pod okiem sennej konferencji rozbrojeniowej obrzucił szwajcarskie wojsko kamieniami".

Poleca się i proponuje urzędnikom z M. S. Z. przestudjowanie obecnie drukowanych sprawozdań z procesu szwajcarskiego, w którym zasiedli na ławach oskarżonych „socjaliści z komunistami", pod okiem sennej konferencji rozbrojeniowej obrzucający szwajcarskie wojsko... ku uciesze europejskich parszywców... kamieniami.

* * *

Archiżydowska, napastnicza koleżanka „Goldberżanka", „*la belle Eirene*", pisząca pod nazwiskiem: Krzywicka, po procesie i po wyroku krakowskim, plując na sądownictwo polskie pisała w swym „repertażu" o żydach progorgonowych.

Ettinger:

„Oto mecenas Ettinger. Sucha twarz mądrego Anglika Precyzja intelektu. Wiedza. Subtelny dowcip. Głębokie wyczucie psychologiczne. Gra myśli, przepysznie zaprawiona ironją. Skalpel analizy. Elegancja słowa".

„Mądry Anglik"... Dosłownie".

Axer:

„Mecenas Axer. Czuły, serdeczny człowiek. Fanatyk sprawy, walczący o niewinność Gorgonowej od pierwszej chwili, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Walczy rozumem, nerwami, zdrowiem i sercem. Twarz rzymska, gdy mówi— cyceroniczny gest. Wspaniały dar krasomówczy. Porywa, wstrząsa, targa; zlewa twarze łzami".

„Twarz rzymska". Dosłownie.

Profesor Hirschfeld:

„Prof. Hirszfeld jest jednym z najwybitniejszych uczonych świata. Nie zdziwimy się wcale, jeżeli któregoś dnia przyznają mu nagrodę Nobla. Jego poprzednik na polu badania grup krwi już ją otrzymał, a jeszcze się wówczas nie śniło o olbrzymiem zastosowaniu praktycznem tej metody. Prof. Hirszfeld jest właściwym jej wynalazcą. Niejeden niewinnie oskarżony zawdzięcza mu życie".

„Jednym z najwybitniejszych uczonych świata"... Nagrodę Nobla.

„Koleżankę Goldbeżankę" za bezczeszczenie i plugawienie sądownictwa polskiego nie pociągnięto do żadnej odpowiedzialności, tak jak nie pociągnięto do odpowiedzialności kalumnjatora armji polskiej parszywca Ascha czy Arscha.

* * *

W wywiadzie z „Epoką", subwencjonowanym tygodnikiem zajadłego, napastniczego, prowokacyjnego *Luftmenscha* Wasserzuga („Wąsówski"), na zapytanie, co myśli Kaden o współczesnym kryzysie duchowym *(spiritus flat, ubi vult decipi, ergo decipiatur)* semi-polak, tak swego czasu zachwalany przez niemiecką żydowicę Noemi Eskul [1]), odpowiedział:

„Należałoby zbadać, czy nie da się obronić teza — że rozbój i gwałt sa takim samym motorem postępu, jak akty dobroci i miłości. Nie zapominajmy o tem, że pała była pierwszym w dziejach momentem postępu".

„*Also sprach*" oficjalny bard Piłsudczyków.

* * *

To też z dużą, z dużą satysfakcją wreszcie, wreszcie w „Gazecie Polskiej" w fejletonach p. t.: „Przez kraj swastyki" („Przy reńskiem winie" II) przeczytaliśmy taki fragment djalogu, prowawadzonego przez pseud. „Kleks" z prof. Emgem w Weimarze, kuratorem uniwersytetu w Jenie, filozofem prawa, wykładającym w Szkole Nauk Politycznych w Berlinie, swego czasu gościem Warszawy na zjeździe Unji Intelektualnej, wyraźnym sympatykiem Polaków... Pyta turysta z Polski:

— „A pisarze? Czy zakażecie im pisać? Jak można kogoś karać za samo pochodzenie?

Odpowiada prof. Emge:

— Nic nie poradzimy na to, że żydzi nie piszą tak jak Niemcy, — nie myślą i nie czują tak jak my. I są dla naszego ducha trującym elementem. Wy, w Polsce, dojdziecie do tego samego — zobaczycie. Tolerować tego sceptycyzmu, tej obcości, nie można".

Stanowczo tak! Tolerować nie można.

Pisarze polscy z bezdna tego poniżenia, upokarzania, poniewierania, hańbienia, upadku i wygładzania wydobyć się muszą. Perswazje i suggestje nie pomagają. Druk to *imponderabilia*. Musi młodzież literacka przejść do akcji odpornej. W odbudowanem państwie zaczyna już wszystko literalnie śmierdzieć żydostwem. Już się dusimy w tem powietrzu. Czas otworzyć wszystkie okna, wszystkie drzwi, wszystkie bramy i przez otwarte bramy wejść na ulice, na place, na gościńce. I do dzieła!

ADOLF NOWACZYŃSKI

---

[1]) „*Kölnische Zeitung*" z 13 grudnia 1931: („*Das Geistige Gesicht Polens*") „Oficjalny bard Piłsudczyków, Kaden-Bandrowski, czyni z komunisty najsympatyczniejszą postać swoich „Czarnych skrzydeł", „pułkownicy" potrafią ocenić walory twórczości Tuwima, mimo nieukrywanego przez poetę pacyfizmu".

NA MARGINESIE

Próba stylu „Gazety Polskiej".

— Bójcie się Boga, taki kryzys — gdzie jest prezes Górecki?!

W całym świecie rozlega się to trwożne pytanie a jednocześnie oczy zwracają się na szary pałac Banku Gospodarstwa Krajowego (róg N. Świata i Królewskiej).

Wiele było pomysłów ratowania sytuacji. Prezes Górecki, uprzedzając konferencję londyńską, postanowił sam przeprowadzić sanację świata. Stanąwszy na czele „Fidac'u", powziął myśl rozciągnąć pojęcie kombatantów na b. żołnierzy obu frontów. Ich walka bratobójcza stała się przyczyną dzisiejszej klęski ekonomicznej, niechże więc teraz podadzą sobie dłoń i zapewnią wieczny pokój. Kwestja będzie rozwiązana. Właśnie czynią się próby włączenia do „Fidac'u" b. wojowników Austrji i Niemiec. W tym celu prezes Górecki bawi teraz w Londynie, aby dla tej idei zjednać legjony brytyjskie.

Tępa opozycja wyśmiewała pomysł powołania wojskowego na stanowisko prezesa Banku, a tymczasem teraz się pokazuje, że była to myśl prowidencyjna.

Któż lepiej może wygrać wojnę, wypowiedzianą wojnie? Tylko wojak może być rycerzem pokoju. To jego powołanie.

*

P. Kaden-Bandrowski wrócił właśnie z kongresu Penklubu, zwołanego do Dubrownika, a z relacji jego w „Gaz. Pol." widać, że jest w wielkiej rozterce. Uderzyło go, jak obuchem, czego nigdy się nie spodziewał, że nawet do Penklubu wdziera się polityka. Co u djabła literaci mają do polityki!

Łatwo było z Niemcami w Penklubie, nawet polskim, gdy chodziło tylko o Polskę. I p. Breiter i Bandrowski nigdy niczem nie okazali, że są w jakimkolwiek z Niemcami antagonizmie. Bo i o co? Ale nie można przecie w Penklubie pominąć sprawy żydowskiej. Bo cóż Penklub bez żydów? Tymczasem Niemcy zaraz się obrazili. Dusza wzbiera aforyzmami: Solidarność narodowa — to przyczyna upadku literatury. Życie jest ciągłą walką: zwalczysz krzyż, wyłazi ci swastyka.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM